STRAŻ NAD WISŁĄ

Na morzu czuwa straż



Rok VII. Nr 19

To warto przeczytać!

(Dawniej „Młody Gryf"

Cena 35 gr

Dział Urzędowy Okr. Urzędu W. F. i P. W.

33% zniżki kolejowe — przyznanie.

A. Zgodziłem się na wystawienie 33% zniżki kol. zgodnie z P. S. 245 — 10 pkt 2 i § 117 pkt 2:

1) p. Mrozikowi Konradowi z KSMM. Pelplin do Chojnic 27 czerwca na zlot.

B. Zatwierdzam zniżki, wydane przez Obw. Kmdtów PW.:

1) p. Radcz Alfons z Różanna do Torunia dn. 21 czerwca na badania lekarskie,

2) p. Dorogokupiec Arkadiusz z KS. „Goplania" z Torunia do Bydgoszczy 19—20 czerwca na zawody. l. atl.,

3) p. Hejmann Leon + 10 czł. K. S. Z. S. Chodzież do Wągrowca dn. 20 bm. na zaw. piłk.,

4) p. Zoch Marian + 14 czł. T. G. „Sokół" Ujście do Rogoźna 13 czerwca na zawody,

5) p. Herman Kazimierz z Ochotn. Str. Poż. Nakło do Szamotuł od 16—30 czerwca na kurs służby odkażającej,

6) p. Benkowski ZHP. Chodzież do Poznania na zaw. l. atl. od 18—22 czerwca br.,

7) p. Solecka Adela z Grudziądza do Torunia od 14—19 bm. na kurs biliot.,

8) p. Florkowska z Grudziądza do Torunia od 15—20 bm. na zaw. strzeleckie,

9) p. Maliszewski Szymon z Grudziądza do Łodzi od 19 do 23 bm. na mecz piłk.

Kierownik Okr. Urz. WF. i PW. **Stanisław Klementowski,** ppłk.

Liga Morska i Kolonialna

„Na tropach Smętka"
za pośrednictwem Ligi Morskiej i Kolonialnej

Znana książka Melchiora Wańkowicza „Na tropach Smętka" została w Niemczech skonfiskowana.

O książce tej wiele się mówi w szerokich kołach społeczeństwa. Istotnie, treść jej wżera się czytelnikowi w każdy puls serca, w każdą kroplę krwi... Świetny pisarz, cieszący się tak wielką poczytnością, coraz to inne zagadnienia poruszający i rozpalający je do czerwoności — daje sceny pełne grozy. Autor wprowadza czytelnika w egzotykę kraju 2600 jezior, wiedzie nas z sobą po uroczyskach nadwodnych puszczy Piskiej. W wędrówce swej natrafia na zabytki polszczyzny, stare druki, modlitwy i obyczaje, widzi malownicze jeziora, świadki tradycji, śpiące wśród lasów, ludzi stojących na straży mowy ojczystej, miejsca straszliwych wspomnień i grozę możliwych przyszłych wydarzeń. Wstrząsa czytelnikiem śmierć jedynego polskiego nauczyciela, zabójstwo oficera polskiej straży granicznej, zabójstwo Kiwickiego, żywot męczeński wdowy po zabitym Lancu, Kajkowej — żony mazurskiego poety.

Autor w reportażu literackim stworzył najwspanialszą epopeję mazurską. Jest to, jak już nieraz podkreślaliśmy, pierwsza książka odważnie napisana o kraju uciskanym przez państwo, będące z Polską w porozumieniu, nie usiłująca jednak judzić przeciw Niemcom, a jedynie rzucająca snop światła na północną ścianę Rzeczypospolitej i na to co się za tą ścianą dzieje.

Książki tej nie może zbraknąć w ręku żadnego Polaka.

Zawiera 368 str. druku, 172 fotografij, 43 grafikony, 2—17 map i drzeworyt. Cena jej wynosi zł 9,80.

Liga Morska i Kolonialna chcąc udostępnić nabycie tej książki szerokim warstwom społeczeństwa pomorskiego rozsprzedaje ją na rozpłaty miesięczne już od zł 2.—. Zgłoszenia przyjmuje w Toruniu Biuro Obwodu LMK. (Dom Społeczny) pokój 45, tel. 24-88 w godzinach 10—12.

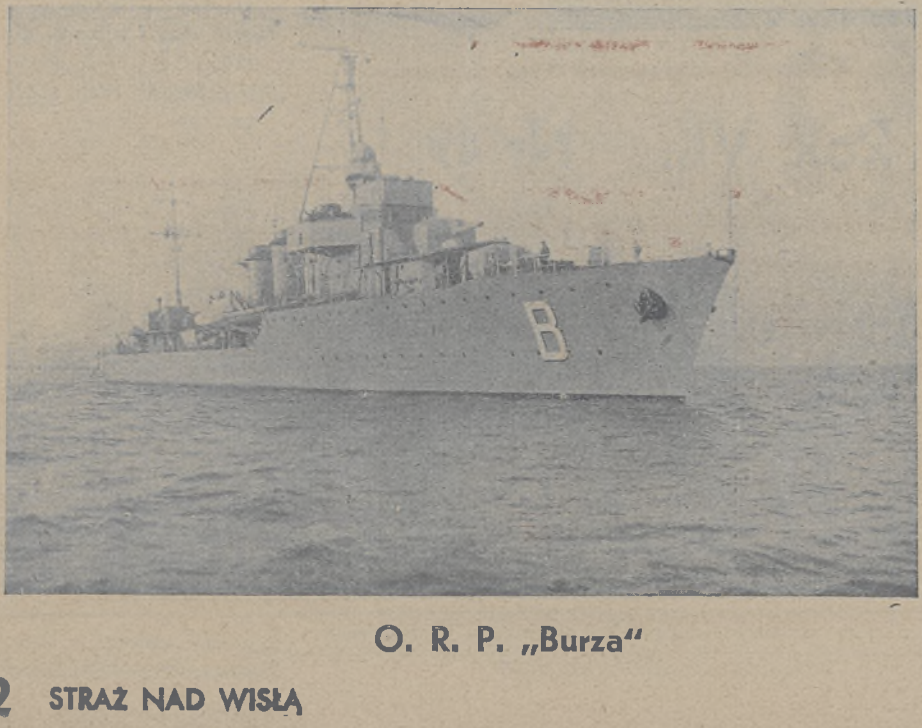
Czy złożyłeś już ofiarę na F. O. M.?



Na maszcie

JÓZEF PIŁSUDSKI MÓWI:

Każdy Rumun, który do nas przyjedzie, ujrzy nas ożywionych pragnieniem wzajemnego poznania i wspólnej pracy z nami. Idźmy ku tej przyjaźni, dotychczas utajonej, że tak powiem, in potentia starajmy się, aby ona w naszych sumieniach głęboko zapuściła korzenie, aby rozgałęziła się we wszystkich sferach naszej energii narodowej, bo wierzcie mi — z tej przyjaźni może wyniknąć dla obu naszych narodów tylko trwałe dobro.



O. R. P. „Burza"

STRAŻ NAD WISŁĄ
Rok VII.
Nr 19 (299)
TORUŃ-BYDGOSZCZ-GDYNIA, 10 lipca 1937

Przez Rumunię do morza Czarnego.

Sojusz polsko-rumuński jest naturalnym wynikiem sytuacji geograficznej obu krajów. Więź spólnych interesów jest najlepszą i najtrwalszą podstawą tego przymierza.

Ale, aby się stale rozwijał, musi być wyzyskiwany we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach, nie tylko w dziedzinie polityki i militaryzmu.

Polska tworzy wraz z Rumunią zwarty, szeroki pas od Bałtyku po wybrzeża Czarnego morza. Dwa państwa wzajemnie się uzupełniają w świadczeniu sobie wzajemnych usług. Polska otwiera Rumunii wylot na północy, nam Rumunia daje podstawę do naszej ekspansji na wody południa i bliskiego Wschodu.

O harmonii działania hasła „od morza do morza" przestało być dla obu państw utopią. Stało się rzeczywistością.

Bandera polska od kilku lat stale powiewa na morzu Czarnym, mając swe oparcie w porcie rumuńskim Konstanzy. Dla statków naszych „Polonii" i „Kościuszki" Konstanza stała się drugim portem macierzystym. Nasza linia południowa rozwija się coraz bardziej, przewozi coraz więcej ładunków i pasażerów.

W Gdyni flaga rumuńska nie bywa osobliwością i z nowych urządzeń portowych korzystają statki sojuszniczki.

Obu krajom specjalnie zależy na tym, aby wzajemne stosunki kulturalne, turystyczne i handlowe nabierały na sile, w tempie potęgującego się rozpędu. Tylko w warunkach ustawicznego rozwoju i wzajemnej wymiany usług, sojusz nasz rozbudowywać się może w skali wypróbowanej użyteczności.

Polskę z Rumunią łączą nie tylko drogi lądowe, ale i wspólne rzeki. Biorą początek na naszych ziemiach, płyną następnie dolinami zlewisk rumuńskich, i po przez Dunaj wpadają aż do Czarnego morza. Ta łącznia wspólnych wód spławnych pomnaża naturalne warunki rozbudowy naszego sojuszu. Więcej — daje żywe świadectwo przyrodzonych warunków, przez samą naturę dyktowanego przymierza.

Wspólne interesy, wspólna granica i wspólne warunki geograficznej sytuacji obu krajów cementują tym ściślej podstawy naturalnego tego zespołu harmonijnie ze sobą związanego.

Ale posiadając wspólne rzeki nie mamy dotąd połączenia wodnego pomiędzy systemami Wisły i Dunaju.

Flota polska opiera się wciąż jeszcze o brzegi Konstanzy siecią kolejową, jako jedyną łącznią w obrocie i ruchu z ziemiami Polski.

Tymczasem portem wodnym, służącym wymianie polsko-rumuńskiej, powinien być Galacz, położony nieco na zachód od ujścia Prutu do Dunaju, leżący na szlaku nawigacyjnym okrętów morskich. Jest to największy morski port Rumunii, choć oddalony, w głębi lądu, o 150 km od ujścia Dunaju do Czarnego morza.

Po zrealizowaniu zamierzonego projektu połączenia Wisły i jej dopływów z systemem Dunaju via Prut, niewątpliwie Galacz stanie się portem, służącym wymianie polsko-rumuńskiej i tranzytowi na olbrzymim szlaku wodnym pomiędzy morzem Czarnym i Bałtykiem.

Żegluga śródlądowa na trasie Galacz — Gdynia stanie się dopiero podstawowym łącznikiem więzi handlowej Polski z Rumunią.

Najdogodniejsze połączenia kolejowe nie zastąpią sieci wodnej, która pomnoży wartość obrotu towarowego z szerokim ujściem na kraje bałkańskie i azjatyckie.

Jak wiemy, Polska już przed paru miesiącami oficjalnie zawiadomiła Rumunię o zamiarze zbudowania kanałów łączących Wisłę z wodami zlewisk Czarnego morza.

Bez czynnego współdziałania Rumunii, bez należytego uspławiania Prutu i przygotowania go do przyjmowania statków odpowiedniego tonażu, o połączeniu Bałtyku z morzem Czarnym oczywiście mowy być nie może. Połączenie Wisły z Dunajem leży zarówno w interesie Polski jak Rumunii. Na ten temat nie należy się wzajemnie przekonywać. Korzyści są zbyt jasne i bezsporne. Aby były realne, należy co rychlej od słów przejść do czynów.

Przy omawianiu obopólnych stosunków i podstaw do ewolucyjnego pogłębiania sojuszu, który jest tak bardzo naturalny i ze wszech miar konieczny, sprawa wodnego połączenia dopływów Wisły z systemem Dunaju powinna być realnie wysunięta, omówiona i — zadecydowana.



Zbilansowanie korzyści, płynących z otwarcia wielkiej drogi wodnej Bałtyk — Czarne morze, stanie się niezachwianą niczym opoką sojuszu nie tylko politycznego, ale i ekonomicznego Polski i Rumunii. Przetrwa pokolenia, sięgnie w odległą przyszłość wieków, bo stanie się gospodarczo nierozerwalny.

Nie powinny istnieć żadne przeszkody do zrealizowania tej myśli, która jest podstawą zdrowej rozbudowy wzajemnych stosunków.

Dla naszej ekspansji przemysłowej Europa zachodnia jest rynkiem trudnym do pozyskania wobec silnej konkurencji sąsiadów, musimy sięgać na tereny zbytu bardziej odległe. Jedynie tańszy transport wodny może wyrównać straty na dystansie kosztów przewozowych do dalekich punktów zbytu. Jedynie rzeki i kanały mogą dać tanie połączenie transportowe Bałtyku i Czarnego morza.

Rumunia otwiera nam drogi na południe i wschód, Polska staje się dla Rumunii pomostem do rynków północy i południowego wschodu. Harmonia wzajemnych usług jest oczywista, trzeba tylko zbudować podstawy nowych połączeń dróg wodnych.

Nie unikniemy konieczności ich przeprowadzenia, możemy jedynie tracić na odraczaniu ich urzeczywistnienia. Z naszych strat korzyści ciągnąć będą inni.

Polska myśl morska i kolonialna

Zamożność państwa stoi w ścisłym stosunku do zamożności obywateli. Niezależnie od takiego czy innego ustroju gospodarczego, od takich czy innych czynników rządzących — w państwie bogatym, zasobnym w płody rolnicze i surowce przemysłowe, szerokie masy będą żyły w dobrobycie, na odpowiedniej stopie kulturalnej.

I naodwrót. W państwie ubogim, pozbawionym surowców przemysłowych, bieda będzie zawsze przekraczała normalne granice. Ta bieda będzie istniała nawet w tym wypadku, gdy ziemia uprawna w danym państwie, urodzajna ziemia-matka, w wystarczającej ilości wyda produkty rolne. Dzisiaj, w XX wieku, trudno sobie wyobrazić istnienie kraju wybitnie rolniczego. Bez dostatecznie rozwiniętego przemysłu, któryby nadmiar rąk roboczych ze wsi ściągał do miast, nie można mówić o jakimkolwiek dobrobycie. Ośrodki przemysłowe państwa są jego wiecznie żywym źródłem bogactw. Samodzielność gospodarcza państwa (a tym samym i pełna samodzielność polityczna), jego kultura materialna (jak również ściśle z nią złączona kultura duchowa), stan uzbrojenia armii — zależą w wybitnym stopniu od tego, jak rozmieszczone są w kraju i ile jest ośrodków przemysłowych.

Przemysł, wielki przemysł!!

Musimy go rozbudowywać, tworzyć coraz to nowe jego gałęzie! Musimy to robić w imię naszych najżywotniejszych interesóów państwowych i narodowych.

O tym jednak, żeby budować i rozwijać przemysł bez kolonii zamorskich — nie można nawet marzyć. Z kolonii czerpać musimy surowce, do kolonii odstawiać wytwory naszych produktów.

Kolonie!

Ileż wspaniałej treści mieści się w tym jednym słowie! Daleki, egzotyczny kontynent. Kolorowe ludy.

Kolonie — źródło bogactw i potęgi państw zachodnio-europejskich. Kolonie — źródło szczęścia dumnych synów Albionu. Za ich to przyczyną skarbce Anglii, Francji, Belgii, Holandii — przepełnione są złotem.

Głód świata, głód dalekich przestrzeni, głód bogactw, tak naturalny każdemu człowiekowi — zaspakajają kolonie. Poczucie własnej mocy, poczucie pełnowartościowości jest nieodłącznym składnikiem ducha każdego pioniera kolonialnego.

I mimowoli ciśnie nam się na usta tragiczne pytanie: — Dlaczego my nie posiadamy kolonii? Dlaczego my, odcięci jesteśmy od tych dalekich światów, które rodzą bogactwo i potęgę?

Z pożółkłych kart historii wyłaniają ku nam tragiczne błędy przeszłości, tragiczne błędy naszych przodków, którzy tak mawiali: — „Może Polak nie wiedzieć co to morze, gdy pilnie orze".

Mieliśmy, naturalnie, tradycje morskie, kaperskie. Nie brakło u nas ludzi, którzy w całej pełni rozumieli rolę morza, marynarki wojennej i dalekich lądów. Były to jednostki wybitne, przerastające o całą głowę swoich współczesnych, lecz tylko — jednostki. Naród, a ściślej mówiąc — szlachta w najszerszej swej masie pozostała głucha na zew morza.

Czyż jednak na skutek wad naszych przodków mamy raz na zawsze pozbywać się kolonii? Czyż na skutek tego, że w wieku XIX byliśmy nieobecni na mapie Europy, wymazani przez trzech silniejszych wrogów, mamy teraz na zawsze jeść gorzki chleb nędzy i upokorzenia?

Na te pytania możemy dać jedną odpowiedź, stanowczą i silną: — Nie!! — oraz jedno postanowienie niezłomne: — Musimy odrobić błędy przeszłości! **Musimy otrzymać kolonie!**

Ale w jaki sposób?

Trzema szlakami musi do swego celu zdążać polska myśl morska i kolonialna.

A) **Wychowanie narodu w duchu kolonialnym.**

Przez wytrwałą, celową propagandę, przez stałe systematyczne oddziaływanie na najszersze masy, przez trafianie do serc i do rozumów musimy wytworzy stan duchowy, który najogólniej określamy **zbiorową wolą narodu.**

Woli jednego człowieka, choćby najbardziej nawet wybitnego, można niedoceniać, można ją lekceważyć — ale z wolą trzydziestokilkumilionowego narodu rzecz ma się zupełnie inaczej. Nie ma siły, którejby się ta zbiorowa wola zlękła, nie ma przeszkód, którychby nie usunęła.

Wychowanie w duchu kolonialnym to zaprawianie się do nadludzkich wprost trudów. Wiadomo przecież, że kolonie to instytucja, która zyski da dopiero wtedy, gdy uprzednio włoży się w nią odpowiednie kapitały — w znaczeniu dosłownym oraz kapitał pracy polskiego robotnika i inteligenta.

B) **Akcja dyplomatyczna.**

Jest to druga koleina, którą podążać musi polska myśl morska i kolonialna, ażeby dojść do upragnionego celu. Jeżeli w założeniu przyjmiemy, że zasadniczym celem dyplomacji jest regulowanie i uzgadnianie rozbieżnych często interesów poszczególnych państw na drodze pokojowej, to nietrudno dojść do wniosku, że właśnie na takiej drodze powinna być załatwiona sprawa naszych kolonii. Nie trzeba chy-

MGR STANISŁAW WAŁĘGA



Nasi przodkowie na morzu !!

Dziś, gdy w całym narodzie polskim wzmaga się i potężnieje pęd ku morzu, jako ku naturalnemu „oknu" i „bramie" na szeroki świat — tym więcej jesteśmy ciekawi jak nasi prapradziadowie ustosunkowywali się do idei morskiej, czy znali i oceniali należycie znaczenie morza i dostępu do morza.

Niestety stwierdzić nam przychodzi, że nie. Dawna Polska miała ogromny dostęp do morza, bo od Estonii, aż poza dzisiejsze jezioro Żarnowieckie, niemniej nie wykorzystała tego dostępu należycie, nie miała nawet własnej floty wojennej, jedynej rękojmi prawdziwego „dominium maris Baltici" (władztwa na Bałtyku). Handel morski zagarnął w swe ręce niemiecki Gdańsk, który tuczył się nadmiernie krwawicą polskiego chłopa, sprzedając za granicę przyspławiane doń Wisłą na szkutach zboże i drzewo.

Jedyne prawdziwe zrozumienie dla idei morskiej okazali pierwsi wielcy królowie z rodu Piastów. Już pierwszy władca Polski Mieszko podbił Pomorze nadodrzańskie. Zdobycze ojca wzmocnił i powiększył Bolesław Chrobry. Później Pomorze od Polski odpadło. Podbił od nowa zupełnie, wcielił do Polski i nawrócił na wiarę chrześcijańską Bolesław Krzywousty — ostatni władca Polski z rodu Piastów, rozumiejący w całej rozciągłości znaczenie morza dla Polski. Podbił on też i wcielił do państwa polskiego — także daleką wyspę Rugię, zwaną wówczas Raną. Wtedy to właśnie Polacy po raz pierwszy puścili się statkami na morze. Świadczy o tym pieśń rycerzy Bolesława Krzywoustego, przekazana nam w tekście łacińskim przez pierwszego kronikarza polskiego Galla-Anonima, z której wyczuwa się wyraźnie radość Polaków, że Krzywoustemu udało się skrócić bardziej niż dawniej komunikację między morzem a Polską i ułatwić jej bezpośrednio dostęp do Bałtyku, albowiem, jak głosi ta pieśń:

„Ojcowie nieśli ryby słone i cuchnące,
Teraz przynoszą syny świeże i drgające;
Praojce nasi tylko grody dobywali,
ICH BURZA NIE ODSTRASZA, NI RYK MORSKIEJ FALI.
Jeleni, sarn i dzików ojce darli kości,
Ci zaś łowią potwory — i mórz wspaniałości".

Czwarty wierz „ich burza nie odstrasza, ni ryk morskiej fali" — jest ważny z tego powodu, iż dowodzi, że Polacy puszczali się już w tym czasie nawet na pełne morze.

Niestety wnuki i prawnuki nie okazali się godnymi swych ojców. Pomorze odpadło od Polski — dostawszy się następnie w moc Krzyżaków i Niemców. Pomorze nadwiślańskie i Prusy Krzyżackie wróciły pod bezpośrednią i pośrednią władzę Polski w drugim pokoju toruńskim 1466 r. W następnym stuleciu dostały się pod władzę Polski całe Inflanty czyli Łotwa i Estonia, a że Litwa już była połączona unią z Polską, więc dawna Polska miała na tej, tak rozległej przestrzeni, dostęp do Bałtyku.

Niestety szlachta polska, rządząca wówczas Polską, czuła dziwną niechęć i niczym nieuzasadnioną odrazę do morza i żeglugi morskiej, wyręczając się na tym odcinku chętnie cudzoziemcami, w których też ręce przeszedł cały handel morski Polski.

Powstały wówczas głupie powiedzonka i przysłowia, mające uzasadniać to stanowisko Polaków, jak n. p. „Polak nie ryba, nie musi pływać" — albo drugie jeszcze głupsze: „Może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze".

Twórcą tego drugiego przysłowia był mieszczanin lubelski, głośny zarazem poeta z końca XV wieku Sebastian Klonowicz. Ten to Klonowicz, który dość dużo podróżował, był w Czechach i na Węgrzech i był jak na swe czasy dość światłym człowiekiem, odbył także z flisami podróż Wisłą na szkucie do Gdańska, którą to podróż pięknie opisał w wierszowanym poemacie p. t. „Flis, to jest spuszczanie statków Wisłą i inszemi rzekami do niej upadającemi".

W poemacie tym wypowiada Klonowicz z całą szczerością absurdalne poglądy współczesnych Polaków, nie rozumiejących znaczenia morza i dostępu do morza. Pisze on tam:

„Każdy w granicach ojczyzny swej chleba
Może dostawać, ile mu potrzeba.

MOŻE ZANIECHAĆ MORSKIEJ NAWAŁNOŚCI
Kwoli żywności.
Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie.
Może nie wiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

A dalej tak dworuje sobie Klonowicz z okrętów i żeglugi morskiej, jako rzekomej przyczyny nieszczęść Polski:

„Ale kto zmyślił przeciwne dubasy,
Szkutę i do niej tak dziwne kulasy,
Wierzę, że Polszcze był nieprzyjacielem,
Abo dubielem (głupcem).
Wszystkie do Polski przyszły tu wykręty,
Gdy się u Gdańska zjawiły okręty,
Prostość ojczysta i niewinność ona
Jest przewierzgniona.
Morze nie ma dna, nie ma też i zbytek,
Zawsze chce więcej, mało mu świat wszytek,
Nie zna miary, więc co pilność ugoni,
Zbytek uroni.
Komięgić nam to i szkuty sprawiły
I nas w tak marne utraty wprawiły ,
Tak nam dodały do złego ponęty
Morskie okręty".

---

ba dodawać, że ma ona najściślejszy związek z ideą powszechnego pokoju, o którym mowa być może tylko wtedy, gdy każdy naród ma równe szanse wobec życia.

C) **Stały rozwój polskiej marynarki wojennej i handlowej.**

Jest to trzeci szlak naszych wysiłków, szlak, który nas najprędzej i najpewniej zawiedzie do celu. Z niczego nic nie powstaje, a flota wojenna powstać może tylko zbiorową wolą narodu, jego ofiarnością i zdolnością do wyrzeczeń się z przyjemnostek osobistych na rzecz wyższego celu. — Twórzmy silną flotę wojenną!

Ażeby móc konsekwentnie zdążać do celu, trzeba go mieć stale przed oczyma. Ażeby nie zbłądzić, trzeba wiedzieć, dokąd iść.

Rok rocznie urządzamy Święto Morza, ażeby wiedzieć, jakim dziejowym szlakiem ma zdążać nasza zbiorowa wola wolnego narodu — drogami, wytyczonymi przez najżywotniejsze polskie interesy.

O morze polskie! W poszumie swoim nieś nam pieśń chwały i zwycięstwa. **Wiesław Zawida.**

Czyż mógł szlachcic polski iść na politykę morską światlejszych królów Zygmunta III i Władysława IV Wazów, czyż mógł oddawać grosz na ich budowę, gdy czytał w „Flisie" Klonowicza, że okręty morskie są przyczyną większości nieszczęść Polski i gdy w dodatku tamże czytał jeszcze, jako:

„Okręt najpierwej wymyśliła chciwość,
Nie tak potrzeba, abo dolegliwość:
Mógł był bez tego każdy na swym lądzie
Zostać w swym rządzie".

Jakże nas dziwnie razi w obecnych czasach, gdy coraz silniej domagamy się dla Polski zamorskich kolonij, rezygnacja Klonowicza i współczesnych mu Polaków z wszelkich aspiracyj kolonialnych i to w czasie, gdy urzeczywistnienie ich było zgoła możliwe, gdy nawet lenniczka Polski Kurlandia — miała przez pewien czas kolonie własne na wyspie Tobago w Antylach i w Gambii w Afryce. A tu Klonowicz w tym czasie, gdy wielkie mocarstwa europejskie prześcigiwały się w zajmowaniu coraz to nowych obszarów kolonialnych w Ameryce, Azji i Afryce, pisze z dziwną i dla nas zgoła niepojętą rezygnacją:

„Dajmy już ten dank Hiszpanom i Niemcom,
Francuzom, Włochom, inszym cudzoziemcom,
NIECH TAM TE ŚWIEŻE WYNAJDUJĄ ŚWIATY,
Z złotymi płaty.
Niech tam kopają ten skarb niepoczęty,
Niechaj perłami ładują okręty,
Nam niechaj rodzi uprawiona niwa
Spokojne żniwa.
Przeto się hamuj, cnotliwy Polaku,
Daj pokój frochtom, wystrzegaj się haku,
Zaniechaj tych szkut, możesz mieć i dzięgi
Okrom komięgi.

Pomimo te przestrogi poczciwego, ale wielce przy tym w poglądach swych uwstecznionego Klonowicza — znalazł się przecież „niecnotliwy Polak", który odważył się puścić okrętem na pełne morze. Był to niejaki Marcin Borzymowski, który swą podróż okrętem z Gdańska do Lubeki opisał w nieznanej dotychczas, niedawno odkrytej, powieści wierszowanej, wydanej w Lublinie w roku 1662 p. t. „Morska nawigacja do Lubeka przez pewną tak polskiej iako y niemieckiey nacyej kompanią w R. P. 1651 czyniona". Jest to właściwie pierwszy nasz na większą miarę utwór, osnuty na motywie morza, pierwsza nasza oryginalna powieść marynistyczna, oparta na przeżyciach samego autora, obfitująca w żywe obrazki życia na morzu i na okręcie.

Żaglowiec płynący z Gdańska do Lubeki unosił na swym pokładzie oprócz autora 30 innych Polaków i 80 Niemców. Pięknie opisuje autor żeglugę po morzu:

„Zaczym bezpiecznie za wiatrową władzą
Jedziem — prosto, a żagle nas prowadzą.
Nie widać ziemie, tylko co obłoki
I wody przejrzeć nie możem szerokiej.
W czterdzieści płyniem od swych brzegów mili,
Niemasz, czymbyśmy swe oczy cieszyli.

Następnie skarży się autor na brak piękniejszych widoków na morzu — nic tylko woda i woda. Nie tak jak na lądzie, gdzie oko bawi rozmaitość krajobrazów:

„A zaś na morzu, lub się tam zlewają
Gwałtowne wody i tam swój stok mają,
Przecie nie słychać ni dzikich śpiewania
Ptaszząt, ni gęsi domowych pływania,
Tylkośmy zdala na nawy (okręty) patrzali,
Któremi różnie ludzie kierowali
Do różnych krain, z różnemi handlami
Prosto swojemi jadąc gościńcami".

Ciekawie opisuje autor zwierzęta morskie — na przykład foki i delfiny, mieszając zresztą oba te pojęcia:

„Gdyśmy pod niebem niemal wszyscy stali
I na swój pojazd szczęśliwy patrzali,
Ono nam palcem bosmani wskazują
Siedmiu psów morskich, których więc mianują
Własnem przezwiskiem ludzie — delfinami:
A oni z wody wychodzą grzbietami,
Na których stały pokosem szczeciny,
Trochę od dzikiej pomierniejsze świni,
Lecz wzrostem tylcy, skórę zaś bobrowi
A łbem i nogą podobni kretowi.
Wprzód rzędem wszyscy za sobą pływali,
Potym dokoła pływając skakali,
Znowu zaś dwiema stanęli rzędami
A na się wodą chlustali łapami,
Toż zaś wężykiem pływali sapając,
Swym biegiem morze pienili igrając".

Ciekawe też są obserwacje autora odnośnie zwyczajów i przesądów marynarskich, terminów technicznych i życia na statku.

Alić poczciwego Marcina Borzymowskiego ze strachem żeglującego do niedalekiej Lubeki, jak i wszystkich współczesnych sobie przewyższył Polak Krzysztof Arciszewski, który w służbie holenderskiej dosłużył się rangi admirała, a w roku 1635 wraz z holenderskim admirałem Lichthartem i komandorem Schkoppe dokonał podboju północnych prowincyj, należącej wówczas do Hiszpanii kolonii portugalskiej Brazylii. Arciszewski okrył się tam nieśmiertelną sławą. On to rozbił i uśmiercił w głośnej bitwie don Luiza de Rojas y Borjas, znanego generała hiszpańskiego, on też zniszczył w Porto Calvo hrabiego de Bagnuolo, miernotę włoską, który cierpiał na astmę i dowodził bitwami z poręczowego krzesła. Po powrocie do Stanów niderlandzkich syt triumfów zażywał Arciszewski największej przyjaźni wśród członków Rady Dziewiętnastu.

Pamięć o Arciszewskim przetrwała w Holandii i Brazylii przez trzy wieki, aż po dziś dzień. Kronikarze portugalscy w Brazylii charakteryzują go jako rycerza bez skazy, oficera walecznego i nad wyraz sprawiedliwego administratora. Jemu też przypisują wyzwolenie Brazylii spod władzy Holendrów, gdyż on to właśnie wymógł w Holandii odwołanie wielkorządcy Brazylii księcia Maurycego de Nassau, w chwili gdy w Brazylii wybuchło powstanie przeciw władzy holenderskiej.

Niestety, jakże mało mieliśmy wówczas takich Arciszewskich, którzy roznosili sławę polską po całym świecie. Zresztą i Arciszewskiemu można to zarzucić, że walczył za obcą sprawę, bo o kolonie dla Holandii, choć przy znanym zaślepieniu współczesnych mu Polaków — o koloniach dla Polski nie było co w tym czasie marzyć. Bo, aby były kolonie — muszą być najpierw okręty, musi być flota, którąby umożliwiła obronę tych kolonij i należyte połączenie ich z krajem macierzystym. A okrętów właśnie Polska nie miała, przynajmniej przez większą część swego panowania na morzu, tak, że nawet własnych wybrzeży obronić zwykle nie mogła.

Jak miały być okręty, gdy taki Klonowicz i jemu podobni zaklinali Polaków, by broń Boże nie porzucali swego wygodnego życia „szczurów lądowych" i nie pływali po morzu.

„Niechaj nie igra z szczęściem kto ma w domu
Swój chleb, a długu nie winien nikomu,
MOŻE NIE PŁYWAĆ, porwon Neptun Bogu
Gdy Ceres w brogu,

(to znaczy, niech diabli porwą Neptuna — boga mórz, gdy żyto w brogu).

Tymi słowami odradzał Klonowicz współczesnym sobie żeglugę po morzu. Czy dziwić się, że dawna Polska utraciła swój duży, obszerny dostęp do morza.

Dziś mamy mały dostęp do morza, tym niemniej rozumiemy jego znaczenie. „Navigare necesse est" — „żeglować trzeba koniecznie" — oto hasło dzisiejszego pokolenia polskiego, starającego się wyrównać wiekowe zaniedbania naszych przodków na morzu.

GDYNIA

Ma Polska wiele pięknych miast o wiekowej tradycji i starej kulturze.

Historia państwa nadawała im specjalny charakter, kształtując ich styl i wyciskając piętno ówczesnych prądów kulturalnych czy sympatyj politycznych.

Studiując historię miast, uczymy się mimowoli obrazowo historii Polski i jej dziejów.

Benjaminkiem miast Polski jest bezwzględnie Gdynia.

Po przyznaniu nam traktatem wersalskim wybrzeża morskiego, które wynosi 146 km, a po odjęciu półwyspu Helskiego 73 km, okazała się konieczność budowy własnego portu. Co prawda Gdańsk został wyodrębniony z obszaru Rzeszy Niemieckiej, a Polsce przyznano prawo korzystania z wszystkich jego urządzeń i portu, jednak już w czasie wojny polsko-bolszewickiej okazało się, że nie można nań liczyć i że gospodarczo jest on dla nas niewystarczający. Na wniosek Ministerstwa Spraw Wojskowych postanowiono wybudować własny port, nie rezygnując bynajmniej z wykorzystania Gdańska.

Przed siedemnastu laty Gdynia była małą wsią rybacką, o której mało kto w Polsce wiedział, i która wśród piasków i torfowisk nadbrzeżnych wiodła spokojny żywot rybacki.

Tu właśnie postanowiono zbudować port.

23 września 1922 roku sprawa ta została zadecydowana w Sejmie, a 29 kwietnia 1923 r. poświęcono uroczyście zaczątki portu.

Praca powoli szła naprzód do chwili objęcia stanowiska ministra przemysłu i handlu w 1926 r. przez inż. Kwiatkowskiego.

Za jego sprawą prace szybko ruszyły z miejsca. Miasto i port zaczęły rosnąć prawie w oczach i wkrótce Gdynia stała się ośrodkiem zainteresowań nie tylko Polski, ale szeregu państw, nawet zamorskich.

Nic dziwnego.

Gdynia, jako port, stała się wkrótce groźnym konkurentem dla portów Bałtyckich, a dla Polski przemysłowej odskocznią do najdalszych krain świata i punktem, przez który przechodzi dziś prawie 75% naszego eksportu i importu towarowego, nie mówiąc już o ruchu emigracyjnym.

I tak mała, nieznana wieś rybacka, w ciągu siedemnastu lat przekształciła się w olbrzymie, stu tysięczne miasto portowe, o urządzeniach będących ostatnim wyrazem nowoczesnej techniki.

Najdobitniej przemawiają cyfry, a więc popatrzmy na Gdynię w liczbach.

Ogólna powierzchnia portu wynosi ponad 900 hektarów, a baseny, których powierzchnia zajmuje 250 ha, są tak głębokie, że mogą do nich zawijać największe okręty, co jest ogromnym ułatwieniem przy za i wyładowywaniu statków.

Na betonowym nadbrzeżu, ciągnącym się na przestrzeni 11 km, ustawionych jest 60 dźwigów elektrycznych, których zdolność przeładunkowa wynosi siedem tysięcy tonn na godzinę, a których ilość okazuje się już niewystarczająca przy wzrastającym stale obrocie. I tak, kiedy w 1924 roku obroty towarowe Gdyni wynosiły 10167 tonn, w 1935 r. — 7.635.000. W roku 1923 zawinęły do Gdyni 3 statki o łącznej pojemności 5000 tonn, a już w 1934 r. 4592 statki przywiozły 4.142.000 tonn towarów.

Ten wzrastający stale obrót zmusił sfery zainteresowane do budowy odpowiedniej ilości statków, które z trzech okrętów o pojemności 5370 tonn w 1922 roku, wzrosły do pięćdziesięciu jednostek o pojemności 90.900 tonn, wliczając w to nasze wspaniałe transatlantyki „Batory" i „Piłsudski". Ponieważ jest to jeszcze niewystarczający tabor, zawiązało się przeszło pięćdziesiąt linij okrętowych, które rozwożą nasze towary po całym świecie.

Nie zapomniano również o rybakach, przeciwnie, zajęto się nimi troskliwie i umożliwiono im racjonalne prowadzenie połowów nie tylko na Bałtyku, ale i na morzu Północnym. Dziś rybacy, których jest na wybrzeżu około 1200 rodzin, mają 175 kutrów motorowych, około 700 łodzi żaglowych, dobry nowoczesny sprzęt i narzędzia. Inowacje te wybitnie wpłynęły na wydajność połowów, czego najlepszym dowodem jest, że kiedy w 1924 r. złowiono 2390 tonn ryb, w 1935 — 17.130 tonn, wartości 3.475.000 złotych.

Na miejscu wybudowano już kilka fabryk konserw rybnych, jest też cały szereg wędzarń, a świeże ryby rozchodzą się po całym kraju, ciesząc się wielkim popytem.

Rokrocznie ściągają nad morze całe rzesze letników, pragnąc użyć tu w pełni wypoczynku, swobody i morza. Gdynia, z racji ogromnej rozbudowy portu, coraz bardziej zatraca charakter kąpieliska, stając się wybitnie miastem portowym.

Do pełnego jej obrazu brakuje tylko stoczni okrętowej, gdzie mogłyby się budować wielkie okręty i statki, nie tylko dla służby w marynarce handlowej, ale i to przede wszystkim dla wojennej, co ogromnie by nas usamodzielniło i na wypadek wojny zabezpieczyło przed wielu niespodziankami, w rodzaju nie dostarczenia nam potrzebnych jednostek.

Posiadanie własnego portu i statków nie wyczerpuje jeszcze kwestii. Musimy zabezpieczyć sobie to co już posiadamy i stworzyć takie warunki, aby poczuć się gospodarczo silnymi, czyli zapewnić przemysłowi dowóz niezbędnych surowców, których niestety, Polska dużo musi sprowadzać z zagranicy.

W warunkach, w jakich się znajdujemy, koniecznością żywotną staje się dążenie do posiadania własnych terenów surowcowych i kolonialnych.

Kwestia rozpatrzenia problemu sprawiedliwego podziału surowców została poruszona przez przedstawiciela Polski w październiku ubiegłego roku na zgromadzeniu Ligi Narodów i spowodowała stworzenie tak zwanej Komisji surowcowej, która ma rozpatrzyć sprawę dostępu do surowców i która w najbliższych dniach wystąpi już z gotowym projektem.

W wyniku jej hasło tegorocznego „Tygodnia Morza" — „Żądamy dla Polski kolonij"! być może, stanie się rzeczywistością i pozwoli Polsce zająć w szeregu mocarstw miejsce jej należne.



Dworzec morski w Gdyni

MARSZ DO MORZA



Odbieranie przyrzeczenia.

Ostatni etap tegorocznego marszu, był zakończeniem rozpoczętego marszu w roku 1932 pod hasłem „Marsz do Morza", który rokrocznie prowadzony był odcinkami po 50—55 km, poczynając od stolicy Pomorza, Torunia, po przez Bydgoszcz, Unisław, Chełmno, Grudziądz, Nowe, Gniew, Starogard, Skarszewy, Kościerzynę, Żukowo do Gdyni.

Marsz był przeprowadzany na podstawie regulaminu ramowego „Marszu szlakiem kadrówki".

Do konkurencji w marszu stanęły wszystkie organizacje P. W. i wojsko — na Pomorzu.

Marsz odbywał się pod protektoratem p. gen. Thommée w ramach ustalonych przez Okr. Ośr. W. F. i P. W. pod przewodnictwem p. ppłk. Klementowskiego.



Najwyższa władza.

Organizatorem marszu była komenda Okręgu Związku Strzeleckiego, pod komendą Okręgowego Inspektora W. F. i P. W. p. majora Korczewskiego.

Głównym sędzią marszu był p. kpt. Laurentowski. Dnia 28 czerwca, o godzinie 4-ej, „jedynie" z wojskową punktualnością zajeżdżają 2 samochody przed Komendę Okręgu Z. S. w Domu Społecznym w Toruniu. Grupa sędziów zebrana już wcześniej, wita wysiadającego z auta kierownika marszu p. mjr. Korczewskiego.



Zaraz wyruszymy w drogę.

Następuje krótka dyspozycja przydziału miejsc w autach i już mkniemy jak wicher szosą Toruń — Fordon — Bydgoszcz — Koronowo — Chojnice — Kościerzyna. Nasz „łazik", jako to maszyna dowódcy, idzie przodem, pozostawiając tumany kurzu, aby pędzącej za nami dużo silniejszej maszynie obrzydzić trzymanie się naszych tylnich gum.

Pogoda cudowna. Mgły poranne zanikają atakowane promieniami słońca. Na ogół jeszcze mało znaków życia po drodze. Gdzie niegdzie zając umyka, oderwany od smacznej kapusty warkotem naszego motoru. Tam znów stado szpaków zrywa się z drzew czereśni, przeklinając szczebiotem nasz najazd.

Zatrzymujemy się na przedmieściu w Chojnicach, aby trochę wyprostować zmartwiałe w bezruchu członki i przegryźć małe śniadanie.

Za chwilę znów mkniemy z szybkością 80 km, już wprost do Kościerzyny.

Miasto pełne ruchu i jakby nastroju świątecznego. Wjazd na rynek udekorowany bramami triumfalnymi z napisami „Serdecznie witamy". Zajeżdżamy przek kościerzyński Dom Społeczny — tu już gwarno, jak w ulu. Patrole z całego Pomorza już są na miejscu, a niektóre już od kilku dni biwakują, przezornie wypoczywając przed forsownym wysiłkiem.

Cały „Dom Społeczny" podzielony na sekcje, do wykonania różnych funkcyj, koniecznych przed tego rodzaju imprezą. A więc, przede wszystkim lekarz dr Nowak z Kartuz, starannie i troskliwie bada każdego zawodnika marszu. Tu następuje nieodwołalny wyrok: pójdzie albo nie pójdzie. Tam znów kontrola zgłoszonych, plombowanie uczestników, odbiór amunicji i t. p. Wszystko funkcjonuje sprawnie, nie ma żadnych zgrzytów. Główny sędzia p. kpt. Laurentowski i kier. ruchu kpt. Baskiewicz są w swoim żywiole.

Godzina 11,30, wszystkie formalności załatwione — patrolom rozdzielono obiad. Kierownictwo, sędziów i prasę goszczą przemiłe strzelczynie kościerzyńskie, które z całym poświęceniem starają się podołać obowiązkom. Nie chcę być przesadnym, ale z całą otwartością stwierdzić muszę, że panie, biorące udział w pracy przygotowawczej marszu, starały się o każdego — aby „broń Boże" nie był ktoś głodny lub spragniony.

Godzina 12-ta, p. mjr Korczewski w obecności p. ppłk. Klementowskiego zwołuje zbiórkę patroli do złożenia przyrzeczenia.

Pan kpt. Laurentowski, jako sędzia główny marszu, skanduje rotę przyrzeczenia.

Po przyrzeczeniu następuje wymarsz patroli na rynek, skąd odbędzie się start.

Na komendę kier. ruchu, patrole zatrzymują się i składają broń w kozły, następnie wszyscy udają się do kościoła na krótką modlitwę przed marszem.

O godzinie 13,30 przybywa p. gen. Thommée — wypuszczają gołębie pocztowe — orkiestra gra marsza generalskiego, a p. generał osobiście prowadzi start; witając się z każdym z przewodników patrolu, życzy powodzenia i wręcza kartę marszu. Co minutę startuje jeden patrol.



Mały człowiek na wielkim marszu.

Między zespołami organizacyj 3 minuty przerwy i znów co minutę 1 patrol. Tak startowało 38 patroli w składzie 1 dowódca i 6-ciu patrolowców. Prócz tego grupa złożona z 4 ludzi i 1 osobno, maszerujących indywidualnie. Umundurowanie: ubranie drelichowe, koc, chlebak, menażka z przyborami, karabin.

Trasa tegorocznego marszu wynosiła 67,5 km i dzieliła się na dwie części: pierwsza część kwalifikacyjna Kościerzyna — Żukowo 39,5 km, którą należało przebyć w czasie 6 godzin 45 minut, licząc razem z odpoczynkami. Trasa drugiego etapu, t. j. z Żukowa do Gdyni, wynosi 28 km i dzieli się następująco:

Żukowo — Studnica 4,5 km, którą to odległość patrole muszą przebyć w czasie 46 — 55 minut, licząc w to czas zużyty na strzelanie.

Strzelnica — skraj lasu przed Wielkim Kackiem, 13,4 km, patrole muszą przebyć tę odległość w czasie od 2 godz. 40 min. do 2 godz. 50 min. włącznie z odpoczynkami.

Skraj lasu przed Wielkim Kackiem — Gdynia, odległość 10 km — marsz tego odcinka jako końcowy, przebywają patrole na najlepszy czas.

Siadam z p. kpt. Laurentowskim do samochodu i jedziemy śladem maszerujących patroli do pierwszego etapu trasy we wsi Kaliska.

Po drodze mijamy patrole i sędziów w marszu (kolarzy). Na czele maszeruje sam ze stopperem w ręku st. szer. Henke z pułku „Dzieci Bydgoskich".

W Kalisku już wszystko przygotowane na przyjęcie strudzonych zawodników. Miejscowy nauczyciel p. Guliński zorganizował tamtejszych obywateli, którzy powystawiali bramy powitalne i przygotowali osłodzoną kawę.

Już wkraczają na metę pierwsze patrole, defilując równym krokiem przed grupą sędziów, którzy obserwują postawę i formę patrolowców, według której następuje ocena.

W Kalisku jest 10 minut odpoczynku i znów kolejny start do następnego etapu — Wieżycy.

Kpt. Laurentowski i ja, nie czekamy końca startu, lecz jedziemy naprzód dla przejrzenia trasy, czy wszystko w porządku. Przy wjeździe w powiat kartuski, nad szosą pięknie przybrana brama z napisem powitalnym:

„POWIAT KARTUSKI WITA ZAWODNIKÓW „MARSZU DO MORZA".



p. gen. Thommeé na skraju lasu w oczekiwaniu na przybycie zawodn.

Robi to miłe wrażenie — czujemy, że nie jesteśmy sami, że impreza nie ogarnęła tylko organizatorów i zawodników, ale całe społeczeństwo na trasie zdaje sobie sprawę z poświęcenia i wysiłku ludzi, idących uczcić polskie morze.



Na prawo patrz.

Posuwamy się szybko dalej — natrafiamy na napis: „500 m do mety". Już jesteśmy na miejscu i znów brama i napis charakterystyczny:

„ZAWODNICY, JESTEŚCIE W SERCU SZWAJCARII KASZUBSKIEJ".



Piechota marynarska.

Miejscowe Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej przygotowało napoje, bułki i cytryny.

Za chwilę przyjeżdża p. mjr Korczewski z innymi oficerami i sędziami. Major jest podniecony, lecz wyraźnie zadowolony, gdyż wszystko idzie bez żadnych przeszkód. Ponieważ jest jeszcze czas, organizujemy wycieczkę na najwyższy szczyt, Wieżycę.

Na szczycie, który się wznosi 331 m ponad poziom morza, jest ustawiona jeszcze wieża obserwacyjna wysokości 20 m. Wspinamy się na ostatnią platformę, aby ujrzeć przepiękny widok Kaszubskiej Szwajcarii. Jak okiem sięgnąć wokoło, teren górzysty, gęsto podszyty lasem mieszanym. Dołem biegnie szosa jak biała wstęga na zielonym tle, na której widać maszerujące w trudzie patrole (słońce grzeje jak przypuszczalny ogień w piekle).



Tak jak wy do nas — tak my do was przyjść możemy.

Wiatr, wiejący od drogi, niesie nam echo piosenki śpiewanej dla równego tempa marszu przez patrole.

Mógłby człowiek tu stać godzinami, wchłaniając zapach lasów i pól i sycić oczy cudownym widokiem.

Następny etap, Bórcz, gdzie znów jest 15 minut odpoczynku dla patroli, lecz nie zatrzymujemy się tutaj, gdyż musimy zwiedzić wcześniej ostatni etap tego dnia, Żukowo, gdzie nocujemy.



Nareszcie na mecie.

Żukowo, duża wieś z pięknym klasztorem poalbertyńskim. W kościele piękny obraz rzeźbiony z jednego kawała drzewa, przedstawiający „Mękę Pańską". Również wejście na chór i cały chór ślicznie rzeźbiony i malowany. Prócz tego w kościele znajduje się cudowny krzyż z rzeźbioną w drzewie postacią Ukrzyżowanego (podobno wykonany około 1350 roku).

Zwiedzamy kuchnie przygotowujące wspaniałą kolację dla zawodników: jeszcze wszystko w surowym stanie, t. j. ziemniaki w kotle, a „kichy" robią się na stole. Noclegi przygotowano w stodołach na sianie...

O godz. 19-ej zebrało się miejscowe obywatelstwo i organizacje ze sztandarami.

Godz. 19,30; przychodzi jako pierwszy st. szer. Henke — w kilka minut później walą gromadnie patrole tak, że trzeba było zatrzymać wszystkich przed metą i wpuszczać kolejno. Chłopcy mimo zmęczenia (nie trzeba zapominać, że marsz 39.5 km odbył się pod upalnym słońcem) maszerują dziarsko. Dzieci żukowskie witają każdy patrol okrzykami i klaką.



Najtrudniejsza sztuka w marszu — to strzelanie.

Następuje szybko odprowadzenie zawodników na kolację, a następnie na kwatery.

Kierownictwo i sędziowie jadą do pobliskiej Stanicy pow. Ośrodka PW. WF., gdzie przygotowano kolację i nocleg. Po kolacji część idzie spać, a sędziowie pracują późno w noc, obliczając wyniki marszu poszczególnych patroli.

Na drugi dzień o godz. 6.30, już wszyscy są na drodze gotowi do wymarszu. Orkiestra rżnie od ucha do ucha (bo to dziś Piotra i Pawła). Każdy patrol przy wymarszu ma dla siebie marsza.

Nie chcąc być posądzonym o ignorację, idę wraz z kolegą Krupińskim do strzelnicy (aż 4,5 km) piechotą. Wyszliśmy pierwsi, a przyjechaliśmy ostatni — tak — bo kierownik marszu p. mjr Korczewski, jadąc po starcie patroli, spotkał nas jak sobie maszerowaliśmy (dla podniety podśpiewując) i na półmetku kazał nam siadać wyzywając od cywil synów.



Przyjacielska pogawędka.

Na strzelnicy jak na strzelnicy — połóż się bracie i patrosz 8 naboi, ale lufą i do celu. Nie wszystkim się to dobrze udawało i widziałem, jak p. ppłk Klementowski groźnie ruszał brwiami. Ale nie dziw się jeden z drugim — maszerujesz w przeddzień 40 km — krótko śpisz i znów maszerujesz, a słonko grzeje, tak, że ci koszula i inne części garderoby (zbyteczne w takim marszu) przyklejają się do ciała jak „syndetikonem", to będziesz strzelał, ale nie do celu... A byli tacy, co na 48 możliwych trafili 33.

Jadę dalej, miejsca mało, a wszystko chciałbym opisać... Więc do ostatniego odpoczynku na „Skraj Lasu". Tu już władze gdyńskie przyjmują. Przybywa p. gen. Thommée i wiele zaproszonych gości. Przybył również przedstawiciel prasy gdyńskiej ubrany jak na miasto portowe przystało, po marynarsku. Pan gen. Thommée przedstawia swego pupilka wszem na głos: „Proszę państwa, pan admirał Arciszewski przyjechał we własnej osobie" — „Admirał" spłonął jak 16-letnia panna, ale się uradował takim wyróżnieniem i wszystkim ukłonił.

Tutaj odpoczynek jest najdłuższy, bo 30 minut — ale też nie byle siły potrzeba, aby te ostatnie 10 kilometrów wytrzymać.

Pan mjr Korczewski przewiduje co się będzie działo, łapie sędziów rozwozi po trasie, rozstawiając co 2 kilometry dla informacji i pomocy zawodnikom.

Cała trasa prowadzi ciągle w górę po szosie bazaltowej. Od wielkiego Kacka ciągną się już zabudowania, tak, że łatwo mogą mylić zawodników, nie znających terenu i zmęczonych, że to już Gdynia (zadaniem sędziów było informować zawodników). Mnie wyrzuca p. mjr na samej mecie, żebym wszystko dobrze i najwcześniej zaobserwował.

Jest jeszcze wcześnie i nie wszystko jest przygotowane.







BEZPŁATNY

DODATEK DO „STRAŻY NAD WISŁĄ"

dla komendantów, instruktorów i referentów wychowania obywatelskiego
w organizacjach przysposobienia wojskowego

MGR KAZIMIERZ DĄBROWSKI

Jakimi drogami szli Kaszubi ku wolnej Polsce

Nadszedł wiek XIX-ty, w którym dotąd ciemiężone ludy Europy zaczęły dopominać się u swych rządów praw obywatelskich i swobody. Mam tu na myśli ludy słowiańskie: Czechów i Serbów, którzy zbudzili się z długoletniego snu, pragnąc wywalczyć sobie własne niepodległe państwo. Echa dążeń narodowościowych przedostawały się z Bałkanu na ziemie polskie. Kaszubi wraz z Polakami, należący do wielkiej rodziny narodów słowiańskich, poczuli tę wiekową spójnię i domagają się przynależnych im praw. Szukają obrony przeciwko germanizatorom w połączeniu z Polską. Do pracy w tym kierunku zabrała się młodzież kaszubska, zakładając na swym terenie koła filomatów, o podobnym programie do filomatów wileńskich. Uczniowie gimnazjum chojnickiego i wejherowskiego uczyli się potajemnie czytania, pisania, literatury i historii polskiej. Nie powstrzymała ich zapału myśl, iż w razie wykrycia tajnej organizacji przez władze pruskie czeka ich nie tylko wydalenie ze szkoły, ale nawet wysiedlenie z kraju. Cele oraz skutki tych kaszubskich filomatów ilustrują czyny, poświęcenia wszystkiego dla Polski. Czy wiadomem jest wszystkim, że w powstaniu styczniowym brali udział filomaci-Kaszubi z Chojnic? Czy wiemy o tym, że z 6-ciu filomatów chojnickich, których nazwiska są: Bonin, Lipiński, Muchowski, Przyborski, Rogala i Borne — aż trzech z nich znalazło śmierć na polu walki, a mianowicie: Bonin, Borne i Przyborski? Czy wiemy też, że Wolski Oskar ze Struji pow. Kościerzyna, maturzysta z wejherowskiego gimnazjum zginął na polu chwały 22. II. 1863 roku pod Chorzelami. Oto są ofiary Filomatów kaszubskich.

Do walki przeciwko znienawidzonym Niemcom zerwał się w r. 1846 Kaszuba Florian Ceynowa, rodem ze Sławoszyna spod Pucka, wywołując w Starogardzie powstanie, chcąc wypędzić wojska pruskie i uwolnić kraj od najeźdźcy. Ceynowa zajmuje pierwsze miejsce wśród tych, którzy w wieku 19-tym myśleli o zrzuceniu jarzma niewoli. Jego badania nad kaszubszczyzną miały obalić kłamliwe słowa niemieckie, jakoby Kaszubi byli szczepem germańskim. I na tym polu położył ogromne zasługi.

Do pisarzy na niwie kaszubskiej zalicza się przede wszystkim pieśniarza Hieronima Derdowskiego, w którego utworach dominuje gorące uczucie miłości ojczyzny. Znane są wszystkim jego patriotyczne słowa: „Niema Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polści", a na innym miejscu pisał: „Me Kaszube strzeżeme Polści morściech granic". Niebezpieczeństwo widział w małżeństwach mieszanych, głosząc: „Nigdy Polka nie powinna kochać cudzoziemca".

Najważniejszą ostoją polskości była religia katolicka. Gdy bowiem usunięto mowę polską ze szkół, z urzędów — wtedy jedynie w kościele rozbrzmiewały pieśni polskie, wygłaszano kazania po polsku, a dzieci uczyły się religii w języku ojczystym. Ta wiara katolicka sprawiła, że Kaszubi nie pozwolili się germanizować. Smutny bowiem spotkał los Pomorzan szczecińskich, którzy zmieniwszy religię, przestali być Polakami.

Wielkie zasługi koło krzewienia ducha polskiego położyło duchowieństwo. Księża nasi organizowali życie kulturalne, ucząc polskich piosenek, urządzając przedstawienia, zakładając biblioteki.

Czytamy bowiem „z przeszłości starej Polski ludność kaszubska zachowała wiarę katolicką — wiarę „polską" i polski język kościelny. Ta stara wiara „polska" łącząca Kaszubów z całą katolicką Polską, utrzymała ich przy polskości i nie dopuściła do ich wynarodowienia".

Celem obrony polskiego stanu posiadania księża otwierali banki ludowe, mające dopomóc upadłym gospodarstwom do podźwignięcia się z upadku, by w ten sposób ziemia pozostała w rękach polskich. Powstało mnóstwo banków na Kaszubach, jak: w Gdańsku, Wejherowie, Kartuzach, Kościerzynie, Chmielnie, Sierakowicach i w Stężycy. Gospodarka w bankach może poszczycić się dobrymi rezultatami.

Ze swego przywiązania do polskości ludność wybrzeża zdała dobrze egzamin w czasie strajku szkolnego. Tu nad morze dochodziły jęki katowanych dzieci wrzesińskich w r. 1901, wzbudzając nie tylko współczucie ale i solidarność, co zamanifestowali w latach 1906/7. Rodzice kaszubscy protestowali przeciwko tej ustawie, uchwalając na wiecach rezolucje, domagające się cofnięcia antypolskiej reformy. Fala wieców ogarnęła powiaty: kościerski, kaszubski, wejherowski i pucki. Liczba uczestników jest najlepszym dowodem rozbudzenia ducha polskiego. Na wiecach w sprawie szkolnej zgromadziło się w Kościerzynie około 1500 osób, w Cysowie pod Chylonią 500 osób, a w Żukowie aż 1500, tak, iż sala nie mogła wszystkich pomieścić i dlatego pewna część stała na dworze w mrozie, słuchając przez 3 godziny przemówień. Jeśli chodzi o dzieci, to w klasie odpowiadają tylko po polsku, nie lękając się ani kar cielesnych ani aresztów. Konsekwencje za opór dzieci ponosili także rodzice, skazywani na kary pieniężne. Ale represje te nie zdołały złamać patriotyzmu kaszubskiego.

Lud kaszubski bierze także udział w powstaniu styczniowym. W powiecie kartuskim żywą działalność uprawia Żelewski, werbując nie tylko ochotników, ale wspomagając cały ten ruch powstańczy pieniędzmi. Kaszubi spieszyli na pole walk z najeźdźcą rosyjskim nie pojedyńczo, lecz całymi oddziałami, więc musiała tu być silnie rozwinięta organizacja powstańcza. O przedzieraniu się masowo Kaszubów pisze tak Łukasiewicz: „Była także z ziemi poznańskiej kompania, złożona z samych Kaszubów. Któżby pomyślał, że na ziemi tej, o której istnieniu może i niejeden nie wiedział, tak gorąco biją serca polskie". Wybrało się dwustu chłopa z tamtych stron, a idąc od wybrzeża Bałtyku ku granicy województwa płockiego na drogę nie przyjęli ani złamanego szeląga żołdu, ani innej pomocy „za najem nie idziemy się bić" — mówili — „ale za braci naszych, dajcie nam broń na Moskala, o resztę się nie kłopoczcie", a gdy się dowiedzieli, że wszystko stracone, ze łzą w oku powlekli się znowu o własnych siłach do domu. Dziwnym wydaje się autorowi, że Kaszubi także zaciągnęli się do szeregów powstańczych. Niezawodnie, jak sam przyznaje, mało się wiedziało o Kaszubach. Jeżeli jednak zważymy, iż krótko przed powstaniem odbyły się na Wybrzeżu żałobne manifestacje za poległych niewinnie na ulicach Warszawy z okazji rocznicy bitwy pod Grochowem roku 1861 — również i na Kaszubach odbyło się w Kościerzynie 17 marca 1861 nabożeństwo żałobne za nieszczęśliwych, tak samo w Chmielnie odprawiono dn. 25 i 27 lutego aż dwa nabożeństwa za pomordowanych i kościoły nie mogły wiernych pomieścić, to jeżeli tak gorąco bije

serce polskie na wybrz. zaledwie na 2 lata przed powstaniem — wtedy udział Kaszubów w walkach wolnościowych nie wywołuje zdziwienia, lecz należy je uważać jako naturalny objaw nastrojów ludności kaszubskiej, która przecież zawsze czuła i myślała po polsku.

Kaszubi również dali na polach pod Warszawą swoje życie za wyswobodzenie ojczyzny. Już wspomniałem, że 3 filomaci z gimnazjum chojnickiego, a jeden z wejherowskiego, nie powrócili już z pola bitwy do domu — tu pragnę jeszcze wymienić dwóch bohaterów: Łebiński Leopold z powiatu kościerskiego poległ pod Szycami w Olkuskim 7. 5. 1863 w oddziale Sumowskiego, wreszcie Wolszlegier Antoni, wnuk Mikołaja Wolszlegiera na Zamartem w pow. chojnickim poległ 2. 3. 1863 pod Dobrosłowem.

Jak silne było poczucie polskości nad morzem świadczy fakt, iż w latach 1871—1918 Kaszubi 15 razy wybierali do parlamentu niemieckiego tylko posłów polskich. Jeszcze jeden z nich żyje, a mianowicie zasłużony działacz ks. kanonik Łosiński z Sierakowic. Aż do ostatniego spisu ludności r. 1890 statystyka niemiecka nie robiła żadnej różnicy pod względem narodowościowym między Kaszubami a Polakami. Dopiero przy spisie z dnia 1. 12. 1890 w rubryce znalazła się wzmianka, odróżniająca Polaków od Kaszubów. Lud jednak poznał podstępne machinacje rządu i podawał tylko mowę polską za ojczystą.

Jak wielkie było oburzenie ludności kaszubskiej mówi nam pamiętny wiec, odbyty r. 1892 w Kościerzynie. Na trybunę wszedł ks. Lipski i jak pisze „Gazeta Toruńska": „na sali powstał homeryczny śmiech trwający kilka minut i odzywały się głosy: „toć my pewno najlepsi Polacy i właśnie dla tego na nas najboleśniejsze spadają razy". A kiedy się ks. zapytał: powiedzcież, kim jesteście? tysiąc piersi huknęło: Polacy! Polacy! Toć chyba warjaci coś podobnego mogą powiedzieć. Dalej pyta: jakie gazety czytacie? polskie! Jakie kazania w kościołach? polskie. Jakie pieśni śpiewacie? polskie — brzmiała odpowiedź. Jakie książki do nabożeństwa? polskie, wydawane w Poznaniu, Toruniu, w Grudziądzu i t. d. Jaki paciorek? polski. Mowę swą przerywaną ustawicznymi oklaskami zakończył ks. słowy: „żądamy aby Kaszubów nie germanizowano lecz wychowywano na dobrych katolików. Żądamy aby im dano na nauczycieli, o ile możności, rodowitych Kaszubów i Polaków, a nie ludzi obcych nam mową, a wyzywających dzieci w szkole „Du dummer Kaszube!"

Dla uzupełnienia poprzedniej mowy prosił o głos ks. Pobłocki z Kokoszków, rodowity Kaszuba... że Kaszubi są Polakami, tego dowodzi przy wyborach wysłanie do Berlina posłów Polaków, zapisujących się jako Polacy przy spisywaniu ludności. Jakiej Kaszubi są narodowości, pokazują nazwy miast i wiosek, jakie zamieszkują: Chojnice, Kościerzyna, Puck, Stężyca, Sierakowice, Strzepcz, Tępcz i t. d. to polskie nazwy. Toż poświadczają ich rodowe nazwiska, jak: Tokarski, Pobłocki, Lipski, Łaszewski, Żelewski, Wierzba, Płotka, Rzepa itd. To nie żadne Knoblanchy, Schweinfussy, Schwarzenellebogeny. Nadto Polacy z Poznania, Krakowa, Warszawy bardzo dobrze rozumieją Kaszubę, a Kaszuba rozumie swych rodaków ze wszystkich dzielnic polskich, czego nie można powiedzieć o Niemcach... Niech więc Niemcy nadal się nie blamują i nie twierdzą, że narzecze kaszubskie nie jest mową polską.

Rząd pruski zwrócił też uwagę na ziemię, będącą w rękach polskich. Uchwalił specjalny fundusz kolonizacyjny, celem ekonomicznego zniszczenia Polaków. W obliczu tego niebezpieczeństwa powiększa się liczba Kółek Rolniczych, powstają stowarzyszenia kredytowe miejskie i wiejskie, które zasilają kaszubskich rolników funduszami. Zagrożone dobra szlacheckie przez Komisję Kolonizacyjną parcelowano między chłopów polskich i w ten sposób ziemia nie dostawała się w ręce niemieckie. Niemcy zaniepokojeni zwiększaniem się polskiego stanu posiadaniu uchwalili w r. 1904 „wyjątkową ustawę", zabraniającą parcelacji, jeżeli na parcelach tych należało budować domy mieszkalne. Takiego pozwolenia odmawiano prawie stale Kaszubom i dlatego i tu powstawały sławne na cały świat Drzymałówki. Na Kaszubach wcześniej niż w Wielkopolsce spotykamy wozy cygańskie. Ofiarą ucisku pruskiego stał się Kaszuba Aleksander Pepliński z Wieprznicy, który w roku 1904, długo przed Drzymałą, sprawił sobie duży wóz cygański. Jemu rząd nie udzielił pozwolenia pobudowania domu, motywując swój krok tym, iż nabył majątek od Niemca. Wówczas Pepliński przygotował sobie drzewo i zbudował wóz 3½ metra długi, 3,10 m szeroki i tyle wysoki. Na końcu umieścił dyszel i tu zamieszkał z żoną i trojgiem dzieci. Przez trzy lata nikt go nie ruszał — żandarmi skontrolowali to ciekawe mieszkanie, ale zostawili go w spokoju. Dopiero w roku 1907 rząd nakazał Peplińskiemu opuścić wóz, bo w przeciwnym razie straci osadę. Ale nasz bohater nie uląkł się tej groźby i zaczął wędrować, zmieniając miejsce postoju. Gdy Prusacy, widzieli, że nie dadzą rady, wyznaczyli mu nowe miejsce postoju na wysokiej górze, na którą nie można było wozu podciągnąć. Lecz Pepliński wytrwał na placówce, mówiąc: „Ciej Pon Bog wnetka nie zmieni, to me i dłużej wytrzymome". Dużo musiał wycierpieć. Władze skazały go trzy razy na karę pieniężną. Pierwszy raz zapłacił 100 mk — drugi raz — 300 mk, trzeci raz — 1000 mk. I to nic nie pomogło. Prusacy widząc swoją bezsilność, chcieli go podstępnie chwycić. Pewnej nocy podrzucili pod wóz usidlonego zająca. Zaalarmowana niby policja przybyła rano na miejsce wypadku i zrobiła doniesienie karne, wskutek którego Pepliński został skazany na 1 rok i 4 miesiące więzienia w Gdańsku. Te same ciosy spotkały innych. Jeszcze Piepiórka i Kujach w Stawiskach pod Kościerzyną zmuszeni byli zamieszkać jeden w szopie, a drugi w świniej kuchni.

Tak Kaszubi, o których mało kto dziś wie i pamięta, umieli bronić swej ojcowizny.

Znad morza szły wici w stronę Polaków, domagając się pomocy przeciwko gnębicielom ducha narodowego. Stąd też wyśpiewał poeta kaszubski skargę, zwracając się do Wincentego Pola, tymi słowy:

„Piewco polski! Gdyś nam nucił
Gdzie lud polski, czeladź Boża
Czemuś okiem swym nie rzucił
Na szlak Wisły aż do morza
Na Bałtyku modre wody?
Byłbyś widział na wpół śpiące
Powalone polskie rody
Dziś do życia wracające!"

W roku 1909 w Sopotach zebrała się inteligencja kaszubska, by założyć organizację pod hasłem „Co kaszubskie — to polskie". Na zjazd przybyli rodacy z Warszawy, Poznania, Łodzi i Wilna. Postanowiono przeciwstawić się wszelkim zakusom niemieckim, grożącym Kaszubom wynarodowieniem. Na zjeździe przemówił między innymi nestor Kaszubów Dr Aleksander Majkowski z Kartuz, zachęcając uczestników do pielęgnowania swojszczyzny oraz do pracy naukowej nad dorobkiem kulturalnym Kaszub. Młodokaszubi skupiali się przy swym organie „Gryf", który stanowił jedyne pismo, odpierające skutecznie ataki germańskie. Po ukończeniu obrad udano się do Oliwy celem zwiedzenia tamtejszego klasztoru, kryjącego szczątki dawnych książąt kaszubskich.

Widzimy, że wiek XIX jest bardzo ciekawy, obfituje bowiem w liczne momenty, które wywarły tu piętno wielkie i bogate w skutkach. Wtedy już Kaszubi zaczęli się gorączkowo przygotowywać do podjęcie akcji, mającej na celu odbudowę państwa polskiego. Jedynym ich marzeniem było ujrzeć siebie jak najrychlej w granicach Polski.

Reasumując wszystko cośmy powiedzieli, stwierdzamy, że Kaszubi są takim samym szczepem lechickim, jak Mazowszanie, Wielkopolanie, stanowiąc pod względem religijnym, kulturalnym oraz ideowym integralną część narodu polskiego.

Nasze dziś i wczoraj na morzu

„Nie powinien i nie może minąć rok, w którymby Polska nie mogła znaleźć środków na powiększenie swej floty wojennej i handlowej. Ciągłość zadania decyduje tu o powodzeniu".

Inż. E. KWIATKOWSKI.

Morza i oceany są wspólną własnością wszystkich narodów, lecz chcąc z nich swobodnie korzystać, trzeba mieć, oprócz marynarki handlowej, potężną flotę wojenną, pod ochroną której bezpiecznie i pewnie wypłyniemy na szerokie fale oceanów.

Aby jednak marynarka wojenna mogła dobrze wywiązać się ze swego zadania, musi być wyposażona w jednostki wszystkich typów — począwszy od łodzi podwodnych, a skończywszy na potężnych jednostkach liniowych.

Przewidujący wszystko Marsz. Piłsudski na dwa lata przed odzyskaniem dostępu do morza, wydał rozkaz: „Z dniem 28 listopada 1918 roku rozkazuję utworzyć marynarkę polską".

Powstaje w Modlinie batalion morski, a równocześnie na Pinie i Prypeci tworzy się flotyllę rzeczną, która już w czasie wojny polsko-bolszewickiej oddała wielkie usługi.

Po oficjalnym objęciu morza w władanie Polski w dniu 10 lutego 1920 roku, okazała się konieczność natychmiastowego zakupu jednostek morskich i jako pierwszy przybywa statek „Pomorzanin", a wkrótce motorowy statek strażniczy „Myśliwy".

Na wiosnę 1921 roku przypływają z Finlandii dwie kanonierki: „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller", a dla celów szkolnych marynarki handlowej trzymasztowy żaglowiec „Lwów"; w lecie skład ten zostaje powiększony o cztery trawlery: „Czajka", „Jaskółka", „Mewa", „Rybitwa", w jesieni o sześć torpedowców: „Mazur", „Kaszub", „Krakowiak", „Ślązak" i „Podhalanin", które przyznała nam Rada Ambasadorów dzieląc zwyciężoną flotę niemiecką. W tymże roku zakupiono jeszcze transportowiec „Warta".

Marynarka wojenna, która stacjonowała w Pucku, miała już na czym ćwiczyć swoje załogi i przygotowywać się do objęcia służby na potężniejszych jednostkach bojowych. W związku z tym zostaje stworzona Oficerska Szkoła Marynarki Wojennej, która przygotowuje przyszłych dowódców i oficerów naszych okrętów wojennych, zakupiony też zostaje we Francji dla celów szkolnych stary krążownik „Bałtyk".

W tym też czasie zbudowano dla flotylli rzecznej w stoczni gdańskiej cztery monitory: „Mozyrz" (obecnie „Toruń"), „Horodyszcze", „Pińsk" i „Warszawa", a w Krakowie „Kraków" i „Wilno".

Tymczasem został już wybudowany w Gdyni port wojenny z wszelkimi urządzeniami, zakładami, magazynami i warsztatami, koniecznymi do obsługiwania floty oraz wyszkolona została dostateczna ilość oficerów, podoficerów i marynarzy.

W początku 1926 roku przystąpiono we Francji do budowy okrętów bojowych, kontrtorpedowców „Wicher" i „Burza", oraz trzech łodzi podwodnych „Wilk", „Ryś" i „Żbik". Okręty te weszły kolejno w skład floty w ciągu trzech następnych lat, razem z nowo zakupionym żaglowcem szkolnym „Iskra", który rokrocznie odbywa dalekie oceaniczne podróże szkolne z podchorążymi Marynarki Wojennej.

Tak powstał zaczątek naszej floty bojowej, którą Marszałek Piłsudski powitał słowami: „Początek rozbudowy polskiej floty wojennej jest najlepszą rękojmią rozwoju mocarstwowego Państwa i kwitnącej pomyślności Narodu".

Czas robi swoje i nawet potężne okręty nie mogą mu się oprzeć. Okręty zaczęły się starzeć i trzeba je było wymienić na nowe. Kolejno ubywają cztery stare trawlery, na miejsce których przybywają nowe o tych samych nazwach, tym cenniejsze dla nas, że wybudowane całkowicie przez stocznie krajowe i to przez Warsztaty Marynarki Wojennej w Gdyni i Państwową Stocznię w Modlinie.

Nie poprzestając na posiadanym taborze Kierownictwo Marynarki Wojennej zamówiło we Francji stawiacza min „Gryf" oraz w stoczniach angielskich w 1935 roku dwa nowe kontrtorpedowce „Grom", który już przybył do kraju i „Błyskawicę", a w 1936 roku w Holandii dwie łodzie podwodne. Jedna z nich „Łódź podwodna imienia Marszałka Piłsudskiego" budowana jest ze składek wojska i Marynarki Wojennej, co jest najlepszym dowodem zrozumienia konieczności posiadania silnej floty wojennej.

Nie możemy jednak na tym poprzestać. Świat cały zbroi się, nie możemy więc pozostać w tyle. Musimy zbroić się kosztem największych wysiłków, bo inaczej inni nas wyprzedzą, a musimy pamiętać o tym, że tylko odpowiednia siła na morzu daje rządom wolną rękę w prowadzeniu czynnej i samodzielnej polityki, mającej na celu szerszą wymianę towarową i dostęp do surowców kolonialnych.

Złote myśli Marsz. Piłsudskiego

Honor nasz powinien polegać na służbie. Komu zaś służymy — służymy Ojczyźnie. A służba jest niczym innym, jak słuchaniem praw przez Ojczyznę dla Ojczyzny ustanowionych.

— Jak powstał ruch spółdzielczy.

28 tkaczy twórcami pierwszej spółdzielni

Twórcami ruchu spółdzielczego nie byli myśliciele, politycy, ani dobroczyńcy, byli nimi ludzie prości — często zwykli robotnicy.

Tak więc pierwszą wzorową spółdzielnię spożywców założyło 28 tkaczy w mieście Rochdale w Anglii w r. 1844.

Zdołali oni w ciągu długiego roku wysiłku zebrać niezbędny kapitalik (około 30 funtów szterlingów), potrzebny do otworzenia spółdzielczego sklepu. Sklep ten miał się w przyszłości stać potężną bronią przeciw wyzyskowi i nędzy mas pracujących. Kiedy jednak w grudniu 1844 r. jedna z kobiet otworzyła ten pierwszy sklep spółdzielczy przy akompaniamencie gwizdów przekupionych uliczników, mieścił się on w ciemnym, małym pokoiku przy jednej z najbrzydszych ulic miasta, o której ówczesnym wyglądzie świadczy dobitnie jej nazwa — ul. „Rapusza". Za lokal ten musiano zapłacić przeszło $^1/_3$ zgromadzonego z takim trudem kapitału. Druga część poszła na bardzo skromne urządzenie sklepu, a reszta na towary. To też początkowo prowadzono tylko mąkę, cukier, masło i kaszę owsianą. Sklep otwierano dwa razy na tydzień, a oświetlano go łojówkami.

Dzięki niezmordowanej pracy i niezachwianej wierności członków wobec spółdzielni oraz ich wierze, że pracując i kupując w tym sklepie nie tylko walczą o przysporzenie swej osobistej korzyści, lecz tworzą podwaliny lepszej i sprawiedliwszej gospodarki społecznej — z małego sklepiku przy ulicy Rapuszej bardzo szybko wyrosło wielkie przedsiębiorstwo, które już w r. 1845 liczy 74 członków, w r. 1850 — 1.400, a obecnie 80 tysięcy.

28 funtów funduszu udziałowego z r. 1844 wzrosło w r. 1845 do 188, w r. 1850 — 2.300, a obecnie ca 600 tysięcy.

Wszystkich spółdzielni spożywców mamy dziś na świecie 963.600 o sumie obrotów 62.731 milionów franków szwajcarskich, z przeszło 90 milionami członków.

*

Narodziny spółdzielczości rolniczej wiążą się z nazwiskiem Fryderyka Wilhelma Raiffeisena, niemieckiego burmistrza, założyciela pierwszej wiejskiej spółdzielni kredytowej w Anhausen w r. 1869.

Po wielu nieudanych próbach przyjścia z pomocą ludności rolniczej, po próbach opierających się w przeważnej mierze na poparciu filantropów, Raiffeisen doszedł do przekonania, że jedynie samopomoc gospodarcza samych zainteresowanych, owiana duchem solidarności i wspólnoty, może podnieść wieś na wyższy szczebel nie tylko postępu materialnego, ale co było bardzo ważne, na wyższy poziom moralny.

Z tych zasad wyrosła spółdzielnia w Anhausen, a za nią dziesiątki tysięcy kas wiejskich i innych spółdzielni rolniczych na całym świecie.

W Polsce kasy tego typu znalazły szerokie pole rozwoju. Nazywają się one „Kasami Stefczyka" — od nazwiska pioniera tego ruchu u nas.

*

Spółdzielczość stała się też i dla „stanu trzeciego" — rzemieślników i drobnych kupców obroną przed zagładą grożącą tej warstwie ze strony przemysłu i handlu wielkokapitalistycznego.

Twórcą spółdzielni kredytowych, które stały się oparciem tych kas, był Herman Schultze z Delitsch, burmistrz tego miasta. Przywódca polityczny rzemieślników, ich reprezentant w parlamencie w r. 1848, w r. 1849 zakłada w rodzinnym mieście szereg organizacyj, w których tak jak we wszelkich poczynaniach społecznych z okresu przedspółdzielczego, dobroczynność grała wybitną rolę. Wreszcie usuwa filantropię, a nawet liczenie na pomoc państwa ze swych organizacji i w r. 1850 tworzy pierwszą spółdzielnię kredytową dla rzemieślników. Spółdzielnie Schultzego powstałe w odmiennym środowisku, odmienne też mają cechy od spółdzielni Raiffeisena.

Większe udziały i pożyczki, szybszy obrót, większe rozmiary, płatny personel — oto różnice zewnętrzne. Niewątpliwie były głębsze różnice, wynikające z odrębności psychicznej środowisk.

Łączyło za to wszelkie te poczynania jedno — dążność do oddania spraw i losów ludzi pracy w ich własne ręce.

ZASADY SPÓŁDZIELCZE

1. Spółdzielnie są organizacjami gospodarczymi ludzi pracy.
2. Celem ich nie jest dawanie zysków kapitałom, lecz **zaspakajanie potrzeb lub zwiększanie dochodów z pracy** swych członków. Zarówno w celach działania jak i w zarządzie gospodarką na pierwszym miejscu stawiają one człowieka i jego potrzeby, wyzwalając go z zależności martwego kapitału.
3. **Kapitał w spółdzielni pozbawiony jest prawa do zysku.** Otrzymuje tylko umiarkowane wynagrodzenie — procent taki, jaki płaci się od wkładów oszczędnościowych. **Zysk w spółdzielni należy do tych, którzy przyczynili się do jego powstania,** jest dzielony między członków w stosunku do stopnia korzystania z wspólnego przedsiębiorstwa, więc w spółdzielniach spożywców w stosunku do zakupów, w spółdzielniach zbytu w stosunku do dostaw i t. d.
4. **Kapitał pozbawiony jest władzy w spółdzielni** — obowiązuje prawo równego głosu dla wszystkich członków bez względu na wielkość włożonego kapitału.
5. Spółdzielnie **opierają się na własnych siłach** zrzeszonych członków. Odrzucają filantropię.
6. **Spółdzielnie tworzą własność społeczną,** nie wywłaszczając nikogo siłą ani prawem. Tworzą ją przez stałe przelewanie na fundusz społeczny niepodzielny, części nadwyżek.
7. Rządzone jako własność społeczna demokratycznie i z wykluczeniem pogoni za zyskiem, spółdzielnie nie mogą gospodarować wbrew interesom swych członków. Ponieważ członkiem spółdzielni może zostać każdy — gospodarują one w imię interesu ogólnego. **Rzetelność, uczciwość, jawność są naturalnymi cechami spółdzielni.**
8. Spółdzielnie jako organizacje gospodarcze **nie biorą udziału w walce politycznej.**
9. Spółdzielnie oddając zarząd przedsiębiorstw w ręce szerokich mas i przeprowadzając w praktyce ideały sprawiedliwości społecznej i uczciwości w życiu gospodarczym są **szkołą wychowania społecznego i gospodarczego tych mas.** Nie ograniczają inicjatywy osobistej — przeciwnie, upowszechniają ją i oddają na korzyść społeczności.
10. Spółdzielnie rozwijając się, mnożąc i zrzeszając w wyższego stopnia organizacje, **tworzą coraz szerszy krąg gospodarki opartej na zasadzie sprawiedliwości i pracującej na użytek powszechny.**

Ale już ruch i „łapiduchy" są (przypuszczam, że będą mieli robotę).

Ludzi mało, bo niewiele kto wiedział, co to dziś będzie. Pierwsza przybywa orkiestra, więc myślę sobie dobra nasza — bo Polak do muzyki lgnie. Idę do „kapelmistrza" o walczyka, a przechodzące Ewy (wszystkie w strojach afrykańskich), zapraszam, aby siadały na trawkę i słuchały tymczasem koncertu, obiecując lepsze widowisko. Po trochu udaje mi się zebrać tłumek, a że to ciekawość prowadzi do wiedzy, więc publiczności rośnie.

Jest już p. gen. Thommée, komisarz Rządu p. mgr Sokół, dyr Urzędu Morskiego inż. Łęgowski, ppłk Heilman-Rawicz — prasa i wielu innych gości.

Karetki pogotowia są ciągle w ruchu — mam już wiadomości, że zespoły maszerują w szalonym tempie i kilku zawodników nie mogąc wytrzymać tak forsownego marszu, odpada.

Z daleka widać już ambitnego syna pułku „Dzieci Bydgoskich", maszeruje, że i Olimpijczyk Beregowoj nie mógł go minąć, choć drużyna jego prawie wszystkich minęła. St. szer. Henke wpada na metę, krzycząc swój czas. Publiczność, orkiestra wyrażają swój hołd dla strudzonego marszowca. Sanitariusze łapią w swoje objęcia Henkego i wciskają mu sok z pomarańczy do ust.

Z kolei idą marynarze — publiczność wita ich hucznymi brawami! Bo też to był marsz jaki się rzadko widzi: mimo forsownego tempa idą równo jak na defiladzie — przewodnik podaje tempa.

Następnie idą drużyny wojskowe, później Związku Strzeleckiego, Rezerwistów i Kolejowego Klubu Sportowego Gdańsk I. Tak ciągnie się korowód w ciągu 2 godzin... w ostatniej chwili defilując na baczność przed władzami...

Byli tacy, którym starczyło sił akurat do mety — naturalnie już dawno byli wyczerpani. Ale wola, ambicja i chęć zwycięstwa doprowadziły ich do końca, choć śmiertelnie wyczerpanych.

Takimi musimy być wszyscy, jeżeli chcemy do czegoś dojść.

Na polance redłowskiej podejmowało ich obiadem żołnierskim miasto.

Obóz Straży Pożarnej zamieniono w pięknie chorągwiami i flagami udekorowany biwak.

O godzinie 16.30 na rynku wszystkie patrole ustawiły się w czworobok, gdzie na specjalnym wzniesieniu ustawione były nagrody.

Jako pierwszy przemówił kierownik marszu p. mjr Korczewski, który w pięknych słowach żołnierskich dziękował uczestnikom za dobrowolnie poniesiony trud dla uczczenia polskiego morza.

Z kolei przemawiał Komisarz Rządu, który w końcu powiedział:

„NIECHAJ WSZYSCY, KTÓRZY DO GDYNI MASZERUJĄ, BIORĄ Z WAS PRZYKŁAD. NIECHAJ KAŻDY, KTO PRAGNIE GDYNIĘ JAKO CEL SWÓJ OSIĄGNĄĆ, Z TAKIM TRUDEM, TAKIM TWARDYM WYSIŁKIEM I Z TAKĄ JAK WY, KOCHANI ŻOŁNIERZE, RADOŚCIĄ, JĄ OSIĄGNIE.

Armia Polska i Naczelny Wódz niech żyją!"

Następnie odbyło się rozdanie nagród, które osobiście wręczał p. gen. Thommée.

Wyników marszu nie podaję, gdyż są już znane z prasy codziennej; natomiast zaznaczyć muszę, że wszyscy uczestnicy zasłużyli na nagrodę i uznanie ze strony społeczeństwa.

Z. CHOJNICKI.

Niemcy w Hiszpanii

Znamy dobrze naszego zachodniego sąsiada. Niemcy są narodem zdobywczym, ale w ujemnym znaczeniu tego słowa. Niemcy — jeżeli chodziło o ich własny interes — kpiły z wszystkich podstawowych zasad etyki, kpiły z moralności, obowiązującej zarówno ludzi w t. zw. współżyciu jednostek, jak i w wzajemnych stosunkach państw i narodów. Droga, która wiodła ich do potęgi, to droga krwi, gwałtu i przemocy. Bez najmniejszych skrupułów niszczyli narody słabsze, ażeby tylko powiększyć swoje posiadłości terytorialne. My, Polacy, doświadczyliśmy tego na własnej skórze.

Buta Niemiec została poskromiona w czasie wojny światowej. W wyniku tejże wojny militarna potęga Niemiec została złamana na przeciąg kilku dobrych lat. Ale nikt nie zdołał złamać brutalnego ducha pruskiego, który nadal, żądny krwi i bogactw, marzy o hegemonii nad światem.

Niemcy w rzędzie państw europejskich posiadają godną siostrzyczkę, Włochy. Obydwa państwa prowadzą awanturniczą politykę, prowadzącą w konsekwencji do wojny i... nowych terytoriów. Ostatni podbój Abisynii, masowa rzeź murzynów przy użyciu gazów i najnowocześniejszych broni najdosadniej charakteryzują nam ducha imperialistycznie nastrojonych państw faszystowskich.

Od roku już trwa rzeź w Hiszpanii. Sprawa hiszpańska absorbuje dzisiaj umysły wszystkich światlejszych obywateli świata. Nic dziwnego. Przecież tam, za barierą Pirenejów, rozgrywa się potworny dramat, przecież tam ginie setki tysięcy ludzi. Twierdzimy z całą pewnością, że są to ludzie niewinni. Obce siły pchają ich do masowych mordów.

O cóż to właściwie chodzi w Hiszpanii?

Generał Franco wywołał rokosz wojskowy. Stanął do walki z prawowitym, wybranym na skutek legalnych, konstytucyjnych wyborów ludowym rządem hiszpańskim. Już rok mija od tragicznej daty wybuchu wojny domowej, a walki trwają z taką samą, jak na początku zaciekłością.

Dzisiaj, po roku walki, sytuacja całkowicie się wyjaśniła. Wiadomo już, kto z kim i o co walczy. Z potoków krwi wypłynęła na wierzch prawda, ta prawda, którą na początku wojny przysypano miliardem niepotrzebnych i kłamliwych słów.

Rok temu wierzyliśmy wszyscy święcie w to, że na terenie Hiszpanii rozgrywa się wielka krucjata przeciwko komunizmowi. Nadano wojnie charakter religijny. Propagandowa bibuła generała Franco i jego popleczników głosiła światu, że hiszpańscy powstańcy walczą o Boga. Wprawdzie ówczesny rząd ludowy w Madrycie nie był rządem komunistycznym, ale jakoś tak się sytuacja składała, że wszyscy w to uwierzyliśmy.

A tymczasem już po kilku miesiącach musieliśmy zwątpić w twierdzenia zbuntowanego generała. Do pomocy przyszli mu ludzie, którzy z walką o Boga nic, ale to kompletnie nic nie mają wspólnego. Przyszli mu z pomocą w postaci regularnych dywizyj wojska, których liczba żołnierzy sięga w setki tysięcy.

Przecież wiadomo dzisiaj wszystkim, że Hitler w Niemczech walczy z religią chrześcijańską. Nawraca do starych germańskich tradycyj bogów Walhali. Głosi odrębność Boga niemieckiego od wszystkich innych Bogów świata.

Nie więcej zapewne z prawdziwym Bogiem ma wspólnego włoski dyktator Mussolini, który gazami, tankami, samolotami mordował czarnych, bezbron-

nych ludzi, którzy — trzeba o tym wiedzieć — również wierzą w chrześcijańskiego Boga.

A tymczasem popatrzmy na drugą stronę walczącą, na t. zw. „czerwonych". Jest między nimi armia narodowa baskijska. Baskowie jest to naród, którego katolicyzm jest szczery i niewątpliwy, przywiązanie do wiary i tradycyj katolickich naprawdę większe, niż u gen. Franco, okrutnego rebelianta, który od roku przelewa bratnią krew i większe niż u Hitlera, który nienawidzi Chrystusa, a wielbi pogańskiego boga Walhali.

A tymczasem — ku naszemu wielkiemu zdziwieniu — właśnie na froncie północnym, gdzie walczy armia baskijska, wojna jest najbardziej zacięta. Baskijczycy bronią się do upadłego, bronią się naprawdę bohatersko przed włoskimi dywizjami. Znane wszystkim są dzieje tragicznych walk o Bilbao, stolicę kraju Basków.

Tylko człowiek, który z zawiązanymi oczyma idzie przez życie, może twierdzić, że walki w Hiszpanii mają charakter religijny. Państwom, walczącym w Hiszpanii, Niemcom i Włochom, chodzi o zupełnie co innego. Chodzi mianowicie o surowce, koniecznie potrzebne do rozwoju przemysłu wojennego. Najwięcej tych surowców jest w katolickim kraju Basków, dlatego też walki tam są najbardziej zacięte.

Gen. Franco jest tylko ślepym narzędziem w ręku tych dwóch mocarstw. Gen. Franco pragnie być dyktatorem na wzór Hitlera i Mussoliniego, a naród hiszpański, nauczony smutnym doświadczeniem lat ubiegłych, ma po same uszy dyktatorów i pragnie nareszcie sam decydować o swoim losie. Mówi się powszechnie, że naród hiszpański jest jednym z najbardziej ciemnych narodów w Europie, bo liczba analfabetów jest tam nieprawdopodobnie wielka. Hiszpania nie brała udziału w wojnie światowej, na tej wojnie zarobiła grube miliardy, a mimo to jest jednym z najuboższych państw w Europie. Kontrasty społeczne w Hiszpanii są bodaj najsilniejsze w całej Europie.

Zdegenerowany król Alfons i wyznaczani przez niego „dyktatorzy" opuścili Hiszpanię. Naród obudził się do życia, wkroczył na wielką drogę reform społecznych.

Cała nasza uwaga jest nastawiona na naszego zachodniego sąsiada. Nie możemy również pominąć jego roli w konflikcie hiszpańskim. Jeżeli wziąć pod uwagę całokształt sytuacji europejskiej, rola ta naprawdę jest... zastanawiająca.

Pruskie łapy w hiszpańskiej krwi ugrzęzły dlatego, ażeby państwo to podporządkować wojskowym celom Trzeciej Rzeszy. Jak już wspomnieliśmy powyżej, chodzi o to, ażeby surowce z baskijskich kopalni mogły swobodnie odpływać do największych na świecie zakładów przemysłu wojennego w Niemczech.

A przeciwko komu Hitler uzbraja całe Niemcy — wiemy napewno. Chce wziąć odwet za „upakarzający" traktat wersalski, chce odzyskać „stare", praniemieckie ziemie: Pomorze, Wielkopolskę, Śląsk!!

Pruskie łapy ugrzęzły w hiszpańskiej krwi dlatego, ażeby później mogły szachować z drugiej strony naszą sojuszniczkę Francję. Odrodzona, wolna, demokratyczna Hiszpania nigdy nie wystąpi przeciw swej siostrzycy Francji na wypadek zbrojnego konfliktu międzynarodowego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zrobi to Hiszpania faszystowska, rządzona przez gen. Franco, a tym samym przez Niemcy i Włochy.

Zwycięstwo gen. Franco w wojnie domowej w Hiszpanii — to zwycięstwo Niemiec i Włoch nad Francją i Anglią. To drapieżna łapa hitlerowska, która wyciągnie się do nas prędzej niż się spodziewamy i wpije się w nasze ciało.

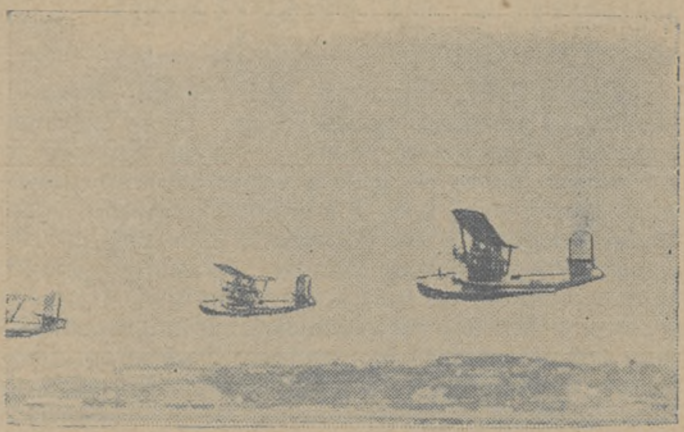
Taka jest prawda hiszpańskiej wojny domowej, prawda, nie dostrzegana przez naszych domorosłych polityków, modlących się o zwycięstwo gen. Franco.

L. O. P. P.

Światowy rekord szybowcowy ma Wielkopolanka

W związku z wiadomością o pobiciu przez studentkę instytutu wychowania fizycznego Ingę Wetzel (Niemcy) światowego rekordu kobiecego długotrwałości lotu na szybowcu (Inga Wetzel przebywała w powietrzu 18 godz. 31 min.), donosi Aeroklub Poznański, że czas uzyskany przez Niemkę nie jest rekordem światowym, lecz tylko kobiecym rekordem niemieckim.

Rekord światowy długotrwałości lotu na szybowcu należy nadal do członkini Aeroklubu Poznańskiego p. Wandy Modlibowskiej. Rekord ten wynosi 24 godziny i 14 min., został ustanowiony w Bezmiechowej w maju br. i uznany przez F. A. I. Poprzedni rekord światowy, należał do Ewy Schmidt (Niemcy) i wynosił 14 godzin.



Hydroplany

Przeloty szybowcowe Aeroklubu Warszawskiego

Piloci szybowcowi Aeroklubu Warszawskiego wykonali w ostatnich tygodniach szereg ciekawych przelotów nad terenami płaskimi. Ostatnio, dnia 19 maja, p. Jerzy Ordęga wykonał na szybowcu SG-3 przelot 187 km, lądując pod Grudziądzem. Tegoż dnia p. T. Matławski na CW-5 przeleciał 76 km do Makowa, 5 maja pp. Matławski i Ordęga wykonali przeloty docelowe zapowiedziane — do Płocka (95 km), 4 maja p. L. Szwarc przeleciał 79 km, lądując w Kiernoziu, 1 maja p. S. Jara wykonał przelot Warszawa — Mogielnica 58 km, 30 marca p. B. Żurakowski — Warszawa — Grabów — 66 km. W końcu marca p. M. Urban przeleciał 185 km lądując pod Brześciem.

Szkoła Szybowcowa w Gostomiu (powiat Kartuzki).

Od 15 lipca do 5 sierpnia rozpoczyna się IV kurs szkolenia w sezonie letnim b. r.



MOST NA DNIESTRZE KOSZTEM POLSKI I RUMUNII

W Zaleszczykach obradowała komisja polsko-rumuńska w sprawie odbudowy mostu drogowego na Dniestrze. W konferencji wzięli udział ze strony Rumunii: inż. Ioan Tudor, gen. inspektor kolei z Bukaresztu, inż. Gottfryd Bursztyn, kierownik Oddziału kolei w Czerniowcach i technik mostowy Matczuk. Ze strony Polski: naczel. wydz. komunikacyjno-budowlanego inż. Wł. Burgielski, kier. działu drog. woj. inż. Wł. Weigel, kierownik budowy mostu inż. Widugier i referent mostowy urzędu wojewódzkiego inż. Grajewski oraz starosta zaleszczycki Krzyżanowski.

Komisja ustaliła szczegółowe terminy montażu przęseł żelaznych kratowych, wykonać się mających wspólnym kosztem polskim i rumuńskim. Otwarcie ruchu spodziewane jest z końcem bieżącego roku. Materiał konstrukcyj kratowych żelaznych przybywa już partiami do Zaleszczyk.

Odbudowa mostu pod Zaleszczykami jest dalszym etapem zbratania obu zaprzyjaźnionych narodów Polski i Rumunii.

WSPANIAŁY DAR DLA ARMII



4 lipca odbyło się w Liskowie uroczyste wręczenie armii 35 ciężkich karabinów maszynowych, przez wojewódzki łódzki komitet F. O. N. Równocześnie wojewódzki komitet FON. w Poznaniu przekazał w tym dniu armii 12 haubic i 4 samoloty.

NIEMCY ORGANIZUJĄ „LEGION POLSKI"?! NIEPRAWDOPODOBNE DONIESIENIE EMIGRACYJNEJ PRASY NIEMIECKIEJ

„Neuer Vorwärts", jeden z organów prasowych niemieckiej emigracji politycznej, wskazując na zachodzące coraz częściej wypadki przekraczania granicy polsko-niemieckiej przez młodzież niemiecką w wieku poborowym, notuje ostatnio sensacyjną wiadomość, że przekraczająca granicę młodzież, po przebyciu w Niemczech przeszkolenia na specjalnych obozach wojskowych, wraca do Polski, by tu czekać na chwilę, w której będzie mogła być użyta do czynnego wystąpienia. Pismo to podaje jeszcze, że zainteresowane koła hitlerowskie noszą się nawet z myślą powołania do życia specjalnej formacji wojskowej p. n. „legionu polskiego" (na wzór „legionu austriackiego"), w skład którego wchodziliby ci wszyscy młodzi Niemcy, którzy schronili się w Niemczech przed odbyciem w Polsce służby wojskowej. „Neuer Vorwärts" podaje przy sposobności, że n. p. na Śląsku Opolskim „Bund Deutscher Osten" uprawia w dalszym ciągu ożywioną agitację na rzecz oderwania od Polski Śląska Górnego. Akcję swoją w kierunku rewizji stosunków terytorialnych na Śląsku rozciąga „Bund Deutscher Osten" również na wyżej wspomnianych młodych Niemców, organizując dla nich specjalne kursy i odczyty.

Jako rzecz dla intencji i planów organizatorów „legionu polskiego" w Niemczech wysoce znamienną należy podkreślić, że przekraczający granicę młodzi Niemcy z Polski nie mogą w żadnym wypadku liczyć na uzyskanie obywatelstwa niemieckiego. Po odbyciu przeszkolenia wojskowego muszą oni bezwzględnie wrócić do Polski... na przydzieloną im placówkę.

Rewelacje „Neuer Vorwärts" zasługują na baczną uwagę nie tylko polskich władz państwowych, ale również i społeczeństwa polskiego, które jest mocno zaniepokojone tajemniczymi ruchami, jakie obserwujemy nie od dziś wśród Niemców w Polsce.

LIKWIDACJA SZKÓŁ NIEMIECKICH W POLSCE

Związek szkół niemieckich t. zw. „Deutscher Schulverein" postanowił zlikwidować gimnazja niemieckie w Rybniku, Nowejwsi i Chorzowie. Uczniowie tych zakładów uczęszczać będą nadal do gimnazjów w Pszczynie i w Tarnowskich Górach.

Prasa niemiecka nie ukrywa, że likwidacja tych gimnazjów spowodowana została brakiem uczniów. Podczas gdy w r. 1933 uczęszczało do gimnazjów niemieckich 1.406 uczniów, to z początkiem 1937 r. pozostało 896 uczniów w 6 szkołach niemieckich.

Zauważyć należy, że w Niemczech 270 uczniów Polaków musi uczęszczać do jednego gimnazjum w Bytomiu.

POLKA WICEPRZEWODNICZĄCĄ SEKCJI KOBIECEJ NA 17 KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM ROLNICZYM W HADZE

Delegatka Stow. Zjedn. Ziemianek na 17 kongres rolniczy w Hadze, p. Jadwiga Dmochowska, została powołana na wiceprzewodniczącą sekji kobiecej kongresu. P. Dmochowska jest na kongresie referentką sprawy zdrowia wsi, w której zagadnieniach wyspecjalizowała się, jako przewodnicząca tej sekcji w Stow. Zjedn. Ziemianek.

Król Cyganów



4 lipca odbyła się na Stadionie Wojska Polskiego uroczystość wyboru i koronacji króla Cyganów. Uroczystość odbyła się z wielkim przepychem w obecności około 10 tys. widzów. Królem został Cygan Janusz Kwiek.

Kronika Organizacyjna

Z życia strzelców

Ofiarność społeczna na rzecz Obrony Narodowej.

Na zew Pana Wieckiego, wójta z Skarszew, Pan Bolesław Ogrodowski, Burmistrz z Skarszew, doceniając rolę i znaczenie pracy na polu Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Obywatelskiego młodzieży przedpoborowej P. W. złożył na dobre cele Z. S. kwotę 5.— zł (pięć złotych) i do złożenia dalszych ofiar wezwał:

1) Pana Kierownika szkoły Putynkowskiego z Skarszew.
2) Komisarza Straż. Granicznej Pana Mutkę z Skarszew.

Na ten sam cel, na zew Pana Ligmanna Władysława z Barkoczyna, Pan Stalc Bernard z Nowego Barkoczyna, złożył na dobre cele Z. S. kwotę 2.— zł (dwa złote) i do złożenia dalszych ofiar wezwał:

Pana Dolatę Konstantyna, rządcą majątku Lubań, poczt. N. Barkoczyn.

Na ten sam cel, Pan Cysewski Aleksander z Lipusza złożył na dobre cele Z. S. kwotę 1.— zł (jeden złoty) i wezwał:

Pana Huzarka Piotra z Lipusza.

W dziedzinie spadochroniarstwa Pomorze przoduje! Pierwszy w Polsce kurs spadochronowy Z. S. otwarty w Grudziądzu

Na polu rozwoju spadochroniarstwa polskiego bezwzględny prym dzierży Pomorze, a ściślej mówiąc — Grudziądz, w nim to bowiem odbyły się pierwsze szkolenia skoczków spadochronowych (I i II kurs LOPP'u), a obecnie odbywa się trzeci z kolei a Z. S. pierwszy w Polsce kurs spadochronowy.

Szkolenie członków Z. S. i ochotników w skokach, jest pierwszym etapem przeszkolenia oddziału piechoty powietrznej. Będzie to pierwszy pluton piechoty powietrznej Rzeczypospolitej Polskiej! W najbliższym czasie zostaną zorganizowane następne kursy spadochronowe Z. S., celem zwiększenia liczebnego oddziałów powietrznych. Wykładowcą jest jeden z **najwybitniejszych instruktorów spadochronowych p. Bernard Garstecki** i jemu to przypadło w udziale szkolić pierwsze kadry spadochronowe na pierwszych kursach polskich.

Zorganizowanie powyższego kursu, stawiającego Grudziądz w dziedzinie spadochroniarstwa na czołowym miejscu, zawdzięcza Z. S. Komendantowi Grodzkiemu P. W. p. kpt. Praskiemu i referentowi pras. PW. p. Kisielewskiemu.

Nasi Kapewiacy

Bydgoszcz — Łęgnowo

W dniu 27 czerwca 1937 r. odbyły się w Łęgnowie międzynarodowe regaty wioślarskie. W zawodach brała udział sekcja wioślarska K. P. W. Bydgoszcz, osiągając piękny sukces — zdobywając 2 pierwsze miejsca w czwórkach półwyścigowych. Pierwsze miejsce K. P. W. Bydgoszcz osada: (Wachowiak, Niekel, Sandoch, Starzyński, St. Demel) w czasie 6,44,7 min. Drugie miejsce P. K. S. Bydgoszcz, trzecie W. K. S. Gryf Bydgoszcz.

W czwórkach półwyścigowych nowicjuszy:

I miejsce K. P. W. Bydgoszcz (Wachowiak, Nickel, Makowski, Starzyński, St. Demel) w czasie 6,43 min. 2) P. K. S. Bydgoszcz. 3) P. K. S. Bydgoszcz.

Kulminacyjnym punktem regat był bieg ósemek o mistrzostwo m. Bydgoszczy. Od startu aż do mety wrzała zażarta walka, wszystkie łodzie szły równo. Do mety dochodzi jako pierwszy Danciger R. V. Gdańsk w czasie 5.31, 2) A. Z. S. Warszawa, 3) B. T. W. Bydgoszcz, 4) A. Z. S. Poznań, 5) K. P. W. Bydgoszcz.

Na mecie między pierwszą a ostatnią łodzią była różnica o 1 długość. Przed samą metą szlakowy A. Z. S. wypadł z uderzenia, co było przyczyną porażki A. Z. S., który mógł był wyjść zwycięzko z tego biegu.

Świecie.

Dnia 4 lipca odbyły się w Świeciu, przy licznym udziale publiczności, zawody międzyogniskowe Kolejowego Przysposobienia Wojskowego. Na zawodach obecny był miejscowy Starosta. W zawodach wzięło udział 92 zawodników i 30 zawodniczek. Przed południem odbyły się przedboje, po południu finały.

Wyniki:

Klasa młodszych:

100 m: 1) Kulecki Jerzy — Ogn. Bydgoszcz II. 12 sek.; 2) Berendt; 3) Polcyn Jan — wszyscy Ognisko Bydgoszcz II.

400 m: 1) Meger Ogn. Chojnice 57,9; 2) Polcyn Ogn. Bydgoszcz.

1500 m: 1) Meger Ognisko Chojnice; 2) Formela Terespol.

Sztafeta 4x100 m: 1) Ognisko Bydgoszcz II. w czasie 52,2 sek. w składzie: Kulecki, Berendt, Polcyn, Knoł; 2) Ognisko Bydgoszcz I.

Skok wzwyż: 1) Kulecki Jerzy Bydgoszcz II. 1,61 m; 2) Korona Jan Ogn. Terespol 1,52 m.

Skok w dal: 1) Kulecki Jerzy Ognisko Bydgoszcz II.; 2) Berendt Ogn. Bydgoszcz II. 5,60 m; 3) Meger Chojnice.

Pchnięcie kulą: 1) Stuwe Jan Ogn. Chojnice 10 m; 2) Berendt Bydgoszcz; 3) Puczyński Bydgoszcz.

Klasa starszych:

Bieg 100 m: 1) Matczyński Ogn. Bydgoszcz I. 12,7 sek.; 2) Majtkowski S. Ogn. Bydgoszcz I.; 3) Lubiński Ogn. Chojnice.

Skok w dal: 1) Majtkowski Stefan Ogn. Bydgoszcz I. 5,83; 2) Korona Ogn. Terespol 5,60; 3) Armknecht Ogn. Bydgoszcz I.

Rzut granatem: 1) Korona Ogn. Terespol 54,25 m; 2) Matczyński 54,20 m; 3) Ogn. Laskowice.

Trójbój wojskowo-kolejowy (marsz 8 km, strzelanie i ułożenie przęsła z szyn): 1) Ognisko Chojnice 4 pkt karne; 2) Ognisko Bydgoszcz II. 5 punktów karnych; 3) Ogn. Bydgoszcz I.

Siatkówka starszych:

1) Ognisko Terespol; 2) Ognisko Bydgoszcz I.

Klasa Pań:

Bieg 60 m: 1) Kazimierczakówna Ogn. Chojnice; 2) Kirsteinówna Ogn. Chojnice; 3) Książkiewiczówna Ogn. Bydgoszcz.

Skok wzwyż: 1) Kazimierczakówna Ogn. Chojnice 1,21 m; 2) Cienurkowska Ogn. Bydgoszcz; 3) Książkiewiczówna Ogn. Bydgoszcz.

Sztafeta 4x75 m: 1) Ognisko Chojnice (Kirschsteinówna Łucja, Książkiewiczówna Jadwiga, Chrzanowska i Kazimierczakówna); 2) Ognisko Bydgoszcz.

Rzut dyskiem: 1) Barczakówna Ogn. Bydgoszcz; 2) Kirschteinówna Ogn. Chojnice; 3) Waldynówna Ogn. Chojnice.

Wyniki z uwagi na zły stan bierzni, skoczni i rzutni uważać należy za dobre. Organizacja zawodów dobra.

K. P. W. „POMORZANIN" W POZNANIU

W Poznaniu odbyły się liczne spotkania gier sportowych:

W siatkówce panów KPW. „Pomorzanin" pokonał Wartę 2:1. KPW. Poznań pokonało Wartę również w stosunku 2:1.

W koszykówce mistrz Polski AZS. zwyciężył Wartę zdecydowanie 85:18 (35:6).

W hazenie panie KPW. „Pomorzanin" pokonały Wartę 6:1

SUKCES TORUŃSKICH KOSZYKARZY W WILNIE

W Wilnie zakończył się 29 czerwca turniej koszykowy o mistrzostwo KPW. w grupie drugiej. W turnieju startowały drużyny KPW. z Warszawy, Radomia, Torunia, Wilna. Pierwsze miejsce zdobyła drużyna KPW. Warszawa przed Toruniem, Radomiem i Wilnem.

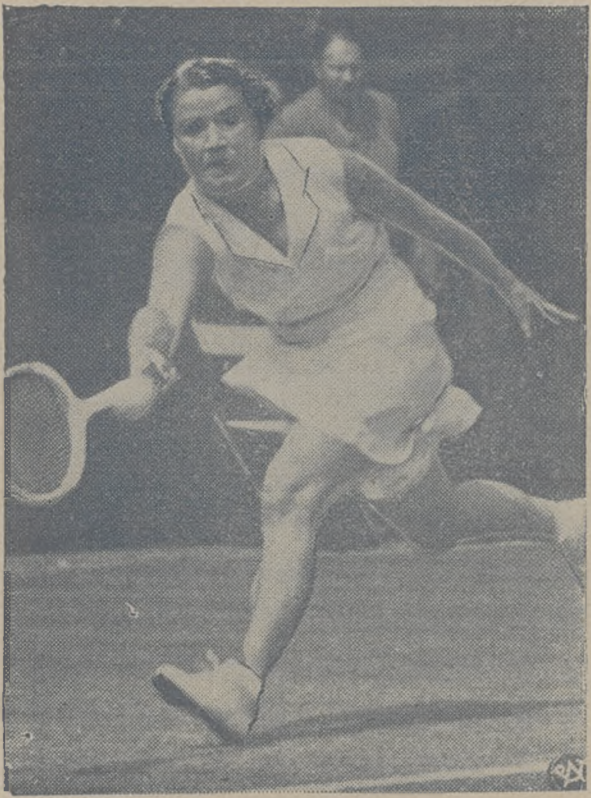
Sport

JĘDRZEJOWSKA WICEMISTRZYNIĄ ŚWIATA

Przy wypełnionych do ostatniego miejsca trybunach zakończony został w sobotę 3 lipca słynny turniej tenisowy w Wimbledonie, w którym udział brali bez mała wszyscy najlepsi tenisiści świata. Turniej ten jest największym i dlatego uchodzi jako nieoficjalne mistrzostwo świata.

Polskę reprezentowała tylko jedna rakieta, a mianowicie Jadzia Jędrzejowska. Poszło jej bardzo dobrze. Młoda Polka po szeregu tryumfów nad wielkimi sławami doszła do finału gry pojedyńczej pań i tu uległa, ale przegrała po morderczej i zupełnie równorzędnej walce.

Według opinii fachowców, Jadzia jest lepszą tenisistką, jednak brak jej jeszcze doświadczenia. Angielka Dorothy Round wygrała w stosunku 6:2, 2:6, 7:5. W ten sposób marzenia Anglików spełniły się; po trzech latach Angielka wygrała finał pań, a Polka stała się odtąd w Anglii jedną z najpopularniejszych rakiet świata.



Jadwiga Jędrzejowska.

NOWI MISTRZOWIE ŚWIATA

Tytuły mistrzów świata na turnieju w Wimbledonie zdobyli: w grze pojedyńczej panów — Budge (Ameryka), w grze pojedyńczej pań — Round (Anglia), w grze podwójnej panów — Malco i Budge (Ameryka), w grze podwójnej pań — Mathieu i Yorke (Francja i Anglia), w grze mieszanej — Budge i Marble (Ameryka).

WIELA REWIA LEKKOATLETÓW.
DUNECKI z KPW. „POMORZANIN" — TORUŃ ZDOBYŁ TRZY WICEMISTRZOSTWA

W sobotę i w niedzielę 3 i 4 lipca odbyły się w Chorzowie dwudniowe lekkoatletyczne mistrzostwa Polski panów.

Pierwszy dzień nie przyniósł spodziewanych sensacyj. Cały szereg zawodników, jak: Śliwak, Biniakowski, Maszewski nie przybyło na start, osłabiając w ten sposób zainteresowanie i wartość zawodów.

Sensacją jest doskonały wynik Noji na 10 km. Zdawało się, że przechodzi on ostatnio kryzys, wykazując niedostateczne przygotowanie, tymczasem na mistrzostwach osiągnął na 10 km wynik, jaki w bieżącym roku uzyskał na świecie tylko jeden Zabala (Argentyna), a w Europie — nikt. Czas Nojego 32:01,4 zapowiada powrót naszego olimpijczyka do szczytowej formy.

Z pośród zawodników największą rewelację stanowi Dunecki (KPW „Pomorzanin") Toruń, zdobywca 3 tytułów wicemistrzowskich (100 m i 110 m przez płotki i 200 m). W dobrej formie był Zasłona, który dwukrotnie — w półfinale i finale — zdobył dobry czas na 100 m 10.8 oraz Gierutto w dysku. Najciekawszym punktem programu był bieg 10 km. Niespodziankę sprawił tu Wirkus, idący krok w krok przez cały czas biegu za Nojim. Dopiero w ostatnim okrążeniu Noji chciał się urwać Wirkusowi, co mu się częściowo udało, Wirkus jednak na 300 m przed metą doganiał Nojego i zmniejszył różnicę do 10 m. Noji prowadził bieg, z wyjątkiem okrążenia jednego, przez cały czas.

Wyniki z 1-go dnia:

Pchnięcie kulą: 1) Gierutto 14,62 m, 2) Praski 13,58, 3) Hoffman Karol 13,54.

10.000 metrów: 1) Noji 32.01,4 min., 2) Wirkus 32,12,4, 3) Marynowski 33,30,6, 6) Szyperski KPW „Pomorzanin" Toruń.

Rzut dyskiem: 1) Gierutto 45,14 m, 2) Fiedoruk 40,38, 3)Praski.

110 m płotki: 1) Haspel 15,5 sek., 2) Dunecki KPW „Pomorzanin" Toruń 16,00, 3) Szmidt (AZS Poznań) 16,5.

400 m: 1) Kucharski 50,2 sek., 2) Krawczyk 51,4, 3) Szefler 51,4. Gąsowski, który zakwalifikował się do finału wycofał się.

100 m: 1) Zasłona (Białystok) 10,8 sek., 2) Dunecki (KPW Toruń) 10,9, 3) Popek (AZS Poznań) 11,0, 4) Tęsiorowski (AZS Poznań).

Bieg na 800 m: 1) Gąsowski 1,59,2 min., 2) Solden 1,57,7, 3) Korzeniowski 2,01,2.

Skok w dal: 1) M. Hoffman (AZS Poznań) 7.14, 2) Hauke (Warszawa) 7.00, 3) K. Hoffman 6.97.

W drugim dniu faworyci nie zawiedli, zajmując czołowe miejsca. Świetnie zapowiadający się Dunecki zdobył trzeci tytuł wicemistrzowski w biegu na 200 m, bijąc po raz drugi Popka.

Techniczne wykniki:

Rzut oszczepem: 1) Turczyk (Poznań) 63,90; 2) Lokajski (Warszawianka) 60,09; 3) Gburczyk (Warszawianka) 59,96; 4) Mikrut (Sok. Bydgoszcz) 57,53.

Bieg na 200 m: 1) Zasłona 22,1; 2) Dunecki (KPW Toruń) 22,5; 3) Popek 22,6.

Skok wzwyż: 1) Hoffman K. 1,82; 2) Chmiel 1,82; 3) Niemiec 1,82; 6) Kalinowski (WKS. Grudziądz) 1,77.

Rzut młotem: 1) Węglarczyk (Sokół Chorzów) 42,58; 2) Kocot (Sokół Tarnowskie Góry) 42,38; 3) Więckowski (Sokół Bydgoszcz) 41,33; 4) Kiełpikowski (Sokół Bydgoszcz) 36,66.

Skok o tyczce: 1) Sznajder 4 m; 2) Mucha 3,70; 3) Klemczak 3,70.

Sztafeta 4x100 m: 1) AZS. Poznań 43,8; 2) AZS. Lwów 44,4; 3) Warszawianka 44,8.

5000 m: 1) Noji 15:22; 2) Duplicki 15:27; 3) Wirkus 15:30.

400 m przez płotki: 1) Maszewski 55,8; 2) Kostrzewski 56,3; 3) Niemiec 57,5.

1500 m: 1) Kucharski 4:01; 2) Soldan 4:02.8; 3) Skolik 4:09.6.

Trójskok: 1) Hoffman M. 14.28; 2) Hoffman K. 14.19; 3) Szmidt 13.74.

Sztafeta 4x400 m: 1) AZS. Warszawa 3:28,2; 2) Pogoń Lwów 3:31,5; 3) Stadion Chorzów 3:33,6.

W ogólnej punktacji pierwsze miejsce zajął AZS. Poznań 132 pkt przed Warszawianką — 115,5 pkt., 3) Pogoń Lwów 58 pkt., 4) AZS. Warszawa 50, 5) AZS. Lwów 32, 6) Cracovia 29, 7) Legia Warszawa 28.



ANEGDOTY HISTORYCZNE

Gdy Voltaire przebywał w Anglii, nie darzono tam Francuzów sympatią. Pewnego dnia otoczył go tłum. Rozległy się okrzyki: „Precz z nim!", „Powiesić na latarni tego Francuza" itp.

Voltaire wskoczył na jakiś wystający kawałek muru i krzyknął:

„Anglicy! Chcecie mnie zabić, ponieważ jestem Francuzem! Czy nie dostatecznie zostałem ukarany tym, że nie jestem Anglikiem?"

Bezczelne to pochlebstwo sprawiło, że tłum, wśród okrzyków „niech żyje!" odprowadził Voltaire'a do domu.

Nikt ich nie poznał

Dyrektor finansowy Rzeszy Niemieckiej, pan doktór Schacht opowiada w towarzystwie przyjaciół:

— Wyobraźcie sobie, że przed kilku dniami byłem w restauracji hotelu Adlon z Goeringiem i z Goebbelsem. Zjedliśmy kolację na sali ogólnej i nikt nas nie poznał. Ani kelnerzy, ani nawet zarządzający.

— Jakże to się stało? — wołają zdumieni słuchacze. — To nie do wiary.

— Jak się stało? — Zwyczajnie. Goering był w ubraniu marynarkowym, Goebbels przez cały czas nie puścił pary z ust, a ja zapłaciłem rachunek gotówką.

Powód

Ja chodzę na ryby dla sportu, tamten pan z nudów, ten profesor z przyzwyczajenia, radca z powodu swych nerwów, ale dlaczego pan to robi?

— Chciałbym złowić kiedyś jakąś rybę!

Wet za wet

— Dlaczego nie chcesz palić cygar, które podarował ci na imieniny Karol.

— Ależ one są obrzydliwe. To są te same cygara, które on otrzymał ostatnio ode mnie na gwiazdkę.

Rzecz względna

— Tatusiu — pyta mały Kazio — czy sto złotych to jest dużo pieniędzy?

— To zależy. Jeżeli je wyda mamusia, to jest drobiazg, a jeżeli wydam ja, wówczas będzie to potworna suma.

W restauracji

— Panie ober, z przyjemnością konstatuję, że przedstawiony mi rachunek za obiad, utrzymany jest w uczciwej granicy.

— Pan pozwoli sprawdzić rachunek, musiała zajść pomyłka.

WARUNKI PRENUMERATY:

rocznie	10 zł
półrocznie	6 „
kwartalnie	3 „
miesięcznie	1 „
numer pojedyńczy	35 gr

Redakcja i administracja: TORUŃ, UL. MICKIEWICZA 2/4
TELEFON RED.: 1067 (DOM SPOŁECZNY)

Redaktor odp.: Mgr Stanisław Wałęga, Toruń, Mickiewicza 2/4

Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz.
Nr P. K. O. 160365 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Nadesłanych rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca

DRUKARNIA SPÓŁDZIELCZA, TORUŃ

OGŁOSZENIA:

strona	200 zł
1/2 strony	110 „
1/4 strony	70 „
1/8 strony	40 „
1/16 strony	25 „